25)

Żółty generał [Autograf.].

~~[części powieści]~~.

K. 1-12, 15-33, (całość)

1+8, 10-13.

Żółty generał.

Z pamiętników nieznajomego spisał

Władysław Łoziński.

I

„Dziwnie to się plecie, na tym Bożym świecie" powtarzali starzy i powtarzają dziś młodzi za panem Kochanowskim, z tą wszelako ważną różnicą, że pierwsi bodaj czy nie większą mają do tego racyę, aniżeli drudzy. Jakoż ja z przekonania czy uprzedzenia — u starych na jedno to wychodzi — twierdzić tym gotów, że dziwnie się plotło i że teraz już tak dziwnie się nie plecie jak dawniej.

Niechaj mówi kto co chce, ja przy swojem obstawał będę, że życie dziś ani tak barwne ani tak obfite w ciekawe przygody jak dawniej było. Widzi mi się, że ludzie dzisiejsi jak w sukniach swych tak i w kolejach swego życia podobni są tak do siebie, jakby z pod jednego maszynowego wyszli stempla. Wszystko to dzisiaj idzie porządnie, niby gładko i z reguły, ale nie znajdziesz w tem ani barwy, ani oryginalności, ani przygód, któreby spamiętać było warto.

Jak się tylko urodzisz, już ci dziś z góry wypisać można curriculum vitae i to bez wszelkiej posługi proroctwa. Zrównało się to wszystko, pod strychulec poszło — a jak trudno niebawem będzie znaleźć w naszej nawet Polsce, gdzie jak wiadomo nadinżynierem dróg i mostów bywał djabeł, tradycyjnie licho i przepastną drożynę, na której by się człowiek po dawnemu porządnie mógł wywrócić wózkiem, choćby ku temu rzetelną miał ochotę, tak i w życiu, po udeptanych ścieżkach jego, przemykają się dziś ludzie śpieszniej i gładziej zapewne, ale też i daleko nudniej według mego zdania.

Dobrze powiedział mi raz pan Marek, który jak w przysłowiu imiennik jego po piekle tłukł się po całej Europie wojując to z Kościuszką, to z Dąbrowskim, to później z Bonapartem, że dziś wszelką siłą trzeba się chyba wysadzić, aby guza oberwać, i że kto zasmakował dawniejszych awantur, ten chyba z Europy do dzikich okolic drugiej półkuli świata przenieść się musi... Jakoż znajmy tylko co nam nasi dziadowie mieli do opowiadania, a co my mamy, a cóż dopiero nasi wnukowie mieć będą?...

W tem to podobno szukać właściwej przyczyny, dla której dziś trudno o starców dawnego kroju, tak żywych, wesołych i przyjemnych... Starzy żyją wspomnieniami i one są treścią ich umysłu pod schyłek żywota. A zkądże wziąć wspomnień, jeśli się nie miało ciekawych przygód i wypadków w życiu?... Czem też się na starość ustrzedz przed znudzeniem, wyczerpaniem i nudami?...

Ale dam pokój tym introdukcyom, abym wedle dawnego przysłowia nie był podobien temu, co rozebrawszy się do koszuli gorzej skoczył, niż póki skakał w kabacie. Zresztą, ów co czytać będzie ten urywek z mojego życia, wziąć gotów ten wstęp cały za zachwalenie przygody, którą opowiedzieć zamierzam, a można by się (może) zawieść na tem. Uprzedzić także muszę czytelnika, który się

mnie przebaczycie po trosze, że w opowiadaniu mojem coś z archaicznego zażywam języka, że
ja nie tak bajecznie starych jestem czasów i że go nie będę rozwijał ~~tak~~ ~~obcą~~ jej dzi-
siejszym uszom staro-szlachecką swadą. Zwyczajnie to tak bywa, że człowiek przeżywszy się
do wieku, z którym się już mniej opowiada niż robi, zaczyna opowiadać każdą takim kształ-
tem, jak to czynił dziad jego, może dla tego, aby mu się tak uważnie dziwiono, jak
on się dziwił swemu dziadkowi... [A teraz co rychło do rzeczy. [Nigdy nie mogę pomy-
śleć o Baszłokolu, choć górą trzydziestu lat, jak tam nie byłem, aby mi na pamięć łzy
rozrzewnienia nie zakręciły pod siwemi powiekami. W Baszłokolu bowiem wychowałem się i
pierwsze lata młodości przepędziłem. Baszłokole była to wioska mała bardzo, podzielona
między dwóch właścicieli. Jednym ~~był~~ pan marszałek ~~Stefan~~ Olesza, drugim niebosz-
czyk mój ojciec. [Dla czego się wioska nasza zwała Baszłokole, rożnie to mówiono
i wywodzono; najtrafniej pono dedukować też nazwę od wielkiej baszty, położonej
na wzgórzu, w samym środku wsi, a stanowiącej jedyny szczęt dawniejszego zamku
obronnego, który znajdował się kiedyś na tem miejscu. Do tej baszty, która sieroczą
swą koroną sięgała z pagórka pod firmament, przybudował pan Olesza swoje domo-
stwo, co wielce dziwacznie wyglądało. Pan Olesza kazał nawet wyrestaurować dół i
pierwsze piętro baszty, przeznaczając je na gościnne pokoje, choć Bogiem a prawdą nikt
tam nigdy nie gościł. [Mój ojciec miał swoje domostwo na dole we wsi, po drugiej
stronie pagórka. Był to stary dwór drewniany, nie owiele zapewne młodszy od owej
dumnej baszty pana Marszałka Oleszy. Miły Boże, jak mi zawsze stoją przed oczy-
ma drewniane ściany ojcowskiego dworka, ile to rzeczy minionych zdają mi się
opowiadać wszystkie jego kąty!... [Pana Oleszę łączyła z ojcem moim najściślejsza przy-
jaźń i zażyłość ~~[illegible]~~ sąsiedzka. Znali się oni od młodości, ale się przez bardzo długi czas
potem nie widzieli, bo pan Olesza przebywał ciągle przy dworze pana wojewody pomor-
skiego Łosia w Narolu i dopiero po jego śmierci porzucił swój urząd marszałkowski i
wrócił do zagrody. Pan wojewoda był to wielki dziwak swego czasu, a p. marszałek O-
lesza cuda prawdziwe o nim opowiadał. Na wołowej skórze nie spisałbym tego, com się dzie-
ciątkiem jeszcze nasłuchał (o nim) od p. marszałka, począwszy od historji owego sławnego pomnika przy rzece Tan-
wi, aż do figlów z żydowskimi piekarzami w Narolu i sądu przyjacielskiego na psy,
co kryjkapitanowi frak poszarpały... Ale nie pora tu mówić teraz o tem, może kiedyś
później... [Nie minął nigdy dzień, aby mój ojciec nie był u Oleszy albo Olesza u
mego ojca. Ja zaś to prawie ciągle przesiadywałem u p. marszałka. Nieznałem matki
ani rodzeństwa, więc mnie raz markotno bywało dzieciakowi — a w dworze p. marszałka
było się z kim pobawić i było co oglądać... [Pan Olesza miał przy sobie małą dzie-
wczątkę sierotę (i dla niej sprowadził ~~do~~ domu daleką bardzo krewniaczkę, ot tak,
~~tak~~ jak to mówiono: po dziesiątej wodzie na kisielu z litewska a po dziesiątym

Kole w słowie Zruska, niegdyś panny na respekcie u pani starościny Kamienieckiej, Kossakow-
skiej; która ta mieszkała w Stanisławowie a potem we Lwowie. Nudne to było kobie-
cisko i zanadto gderliwe a mimo nabożne, ale dobre, czułe, z sercem co się zwie złotem.
[Pod opieką panny Jagnieszki Kokorzyńskiej tedy i dziadka starego wychowywało się i rosło
śliczne, jakby kwiatuszek polny, owo sierotę, wnuczka p. Marszałka, Helenka. Pan O-
łecza jedynym był po Bogu opiekunem Heleńcie, bo jej niemowlęciem jeszcze umarli
rodzice, a Helenka mianującem była panu Oleszy jedyną pociechą życia. Miłował on ją, pie-
ścił, hołubił, że i opisać trudno; i nie przesadzam, gdy powiem, że bez wahania wyzbył-
by się wszystkich swego klejnotu i poszedł do żyda na węgle, co bywało najstraszniejszym
postrachem u niego, gdyby szczęście Helenki tego mogło kiedy wymagać. [Otoż biegałem, bę-
dąc chłopięciem, do dworu p. marszałka, aby się bawić z Helenką, którą jak siostrzycz-
kę rodzoną ukochałem i aby zjadać słodkie pierniczki i grzeszki na miodzie smażone, któ-
rych zawsze miała pod dostatkiem panna Jagnieszka, a których nam nigdy nie skąpiła.
W dnie letniej pogody nie było jednej stopy ziemi na pagórku i na środku na łąki, którejby
nie potrąciła nasza noga wśród igraszek dziecinnych — słotną zaś porą zasiadaliśmy się z
p. Kokorzyńską lub sami do starej baszty i w dolnych, tak zwanych gościnnych jej izbach
obszernych i ponurym cieniem sklepień omroczonych bawiliśmy się całemi dniami. Helenka
choć o cztery lata młodsza ode mnie nadawała ton zabawom, a najmilszą zaś była gra
w senatorstwo. Wówczas ja byłem senatorem, Helenka panią senatorową, i trzeba było wi-
dzieć to milutkie, żywe stworzenie, jak minką nastrojoną poważnie, z zadartym noskiem i
wszystkowiedzącą furią zawstydzało ~~pana~~ swego towarzysza, który w żaden sposób nie mógł sobie przy-
swoić dystynkcyj senatorskiej. [Pewnego razu wśród podobnych igraszek zwróciliśmy uwagę na-
szą na niskie dębowe drzwi, które przy drzwiach głównych zdawały nam się być zbyteczne w dolnej izbie basztowej. Zagadkowe
te drzwi zbudziły naszą dziecinną ciekawość. Zwłaszcza moja imaginacya, której zawsze dziwnie
poruszały ponure i poważne mury baszty, mimo się zajęła tem tajemniczem dla mnie wyjściem.
Korzystając z nieobecności p. Kokorzyńskiej, która nam tym razem nie towarzyszyła, postanowiłem
je otworzyć. Helenka przestrzegała, groziła gniewem dziadka, ale nic to nie pomogło. Podważyłem
się całą siłą pod drzwi i obiema gorączkowem ujęciem pordzewiałą już dobrze klamkę. Drzwi nie-
chciały się zrazu otworzyć, ale za podwojonem naciśnięciem uchyliły się nagle. [Ujrzeliśmy przed
sobą małe schodki, wijące się kręto do góry. [— Chodźmy tam! Niebyliśmy tam jeszcze! — za-
wołałem pełen przedsiębiorczego animuszu. [Moja mała towarzyszka zawahała się, jakby lę-
kała się tak awanturniczej wycieczki, ale ~~[illegible]~~ naglony przyjemnie a uśmiechnięta jasnym promieniem
słońca, które wybiegłszy się z pod dżdżystych chmur niespodziewanie zabłysnęło przez otwarte
okno baszty, chwyciła się mego ramienia i poczęła się wraz ze mną wspinać do góry. Tak
stanęliśmy na pierwszem piętrze baszty, ogromnie uradowani, że odkryliśmy nowy świat dla
naszych zabaw i pustot dziecinnych. Wyżej iść nie ~~było~~ można, bo brakło schodów na drugie piętro

kazał był dziadek przy restauracji złota zabić deskami. Zato jednak mieliśmy przed sobą drzwi, które wiodły do izby na pierwszem piętrze. Pchnąłem je silnie i zaczarowany ~~la~~ przybytek otwarł się przed nami. Wciągnąłem za sobą Helenkę, która dawniej się tak zaawanturowała, poddała się już całkowicie w okoliczności tej pod skrzydła mojej męzkiej opieki — co mnie tyranizowanemu zazwyczaj przez jej spryt dziewczęcy niezmiernie pochlebiało. [Izba boczna na pierwszym piętrze, zamieniona także, jak wyżej powiedziano, na drugi pokój gościnny ~~dl~~ przez p. marszałka, zachowała daleko więcej cech starożytności niż dolna. Niebyła bielona jak ~~dolna~~ tamta, lecz zachowała szarą swą barwę poważną a ściany ozdobione były rzeźbami z piaskowego kamienia, które wyobrażały hełmy, miecze, stosy kul działowych i inne rycerskie symbole. [Kiedyśmy stanęli ~~w środku~~ u progu zaglądało słońce wesołem okiem przez małe okrągłe okno, ale znać okryła nagle przez chmura, bo dzień był niepogodny, często zdradziecko... Głębokie cienie, przecięte wąską strugą światła, ~~drżącego~~ którego skąpo użyczało okrągłe okno, rozciągły się po łukach sklepienia i nadało bocznej komnacie jeszcze więcej ponurej grozy... [Helenka przytuliła się do mnie z lękiem a i mój chłopięcy animusz poniósł nieco szwanku. Chciałem już wracać, i rzuciłem niejako pożegnawcze spojrzenie po ścianach. Wzrok mój zabłąkał się w ~~pobli~~ cieniach górnych — i oto nagle widok przerażający przejął mnie nagłym, zimnem mrowiem trwogi... [Skamieniałem prawie na miejscu i zaledwie tyle miałem przytomności, że usłyszałem wykrzyk Helenki i uczułem silne ściśnienie ~~jej~~ ramienia, z którem się splotły drżące rączęta mej maleńkiej przyjaciółki... [Oto w najmniej oświetlonej części bocznej komnaty, tuż przy samej ścianie stało widmo dziwne i przerażające... [Był to wysoki ~~bardzo~~ i bardzo chudy mężczyzna, z długą kościstą twarzą, z szpiczastą brodą, z nosem długim i zakrzywionem, z wzrokiem czarnym i przenikliwym... [Miał na głowie perukę na biało upudrowaną, z harcapem z tyłu kokardą przewiązanym, z lokami i fryzonami po bokach; ubrany był w żółty frak z klapami, ozdobiony haftem i guzikami złocistemi, białe spodnie z kaszmirową przewiązką, białe pończochy i trzewiki o błyszczących sprzączkach. [Od ramion spływała mu złocista ~~szpada~~ szarfa i kutasami łączyła się z rękojeścią biało oprawnej szpady, u lewego ramienia połyskiwał jakiś order a z pod pachy wyglądał trójgraniasty kapelusz... [Szczęściem nie patrzyło na mnie to widmo, oczy jego czarne i duże były zwrócone w inną stronę, bo stał bokiem do nas... Chciałem uciec, ale coś mnie przykuwało do miejsca, chciałem odwrócić oczy od żółtego upiora, ale ciągnął on wzrok mój niepokonaną siłą... [Powtórny wykrzyk trwogi Helenki obudził mnie z tego osłupienia. Ocknęła się we mnie ambicya, a że z natury byłem śmiałym dzieciakiem, więc niebawem przyszedłem do pewnej równowagi. Przetarłem oczy i śmiało zmierzyłem widmo. [Jegomość ~~stał~~ w żółtym fraku stał nieruchomy — bo też i trudno mu było się ruszyć. [Był malowany... [Ujrzałem teraz dopiero,

że był to duży bardzo obraz bez ram, nie zawieszony, ale oparty o ścianę. Było widocznie jakiś portret w naturalnej wielkości. Ciemne tło, na którem wymalowany był mężczyzna w żółtym fraku, nieograniczone ramami, zlewało się z cieniami, a z cieni tych wystąpiła tym sposobem jakby wymalowana postać… [Odetchnąłem. [– Nie bój się Helenko – zawołałem – to obraz tylko! [Chciałem podstąpić bliżej i dotknąć się malowidła ale opór przerażonego śmiertel- nie dziewczątka skłonił mnie do cofnięcia się z balowej izby. Ująłem tedy ramię Helenki i sprowadziłem drżącą na schody. Uczułem w sobie niewypowiedzianie rozkoszną dumę, wi- dząc się tak obrońcą i podporą Helenki!… W pacholęciu odezwał się mężczyzna – radowało mnie niezmiernie że mogłem mojej towarzyszce imponować rzadką odwagą w niebezpieczeństwie.

[Radość moja jednakże nie długo trwała, bo zaledwie stanęliśmy wszyscy w domu p. marszałka, gdzie był także mój ojciec, a Helenka na pół omdlała i jak kreda bla- do opowiadała, co zaszło, otrzymałem ex instanti od ojca porządną choć dorywczą chłostę i ode- słany zostałem pod eskortą starego pajuka Onufrego do domu wśród najboleśniejszych cir- cumstancyj, bo właśnie w chwili, kiedy p. Kokoszyńska podawała smaczne przekąski do kawy. [Atoli smutne wrażenia, które nastąpiły po mojej awanturze, rychło się zatarły. Niebawem dozwolony mi był znowu wstęp do p. marszałka Olizy i jego wnuczki. Pierwszą rzeczą było zaspokojenie ciekawości co do tajemniczego obrazu. Zmówiwszy się tedy z Helenką poszliśmy wypytywać p. marszałka, co to za obraz i co ma znaczyć. [– To konterfekt wujaszka Helenki – objaśnił nas p. Oliza. [– Nie potrzebuję takiego brzydkiego wujaszka – zawołała krzywiąc się Helenka. [– A czyj on za jeden, ten wujaszek? – zapytałem. [– Pa- trzajcie urwisa, jaki ciekawy! – mruknął p. Oliza ale dodał zaraz: – Jenerał, mości… [Ale na tem też skończyły się wyjaśnienia. Od tego czasu mimo zakazów p. marszałka biegaliśmy często do izby balowej na pierwszym piętrze, aby się przypatrywać obrazowi, który takiego przestrachu był przyczyną. Oddawaliśmy często wizyty wujaszkowi, czyli jak go zwaliśmy zazwyczaj „żółtemu generałowi.” Niebawem spoufaliliśmy się aż do impertynen- cyi z „żółtym jenerałem”, kłaniając mu się i przedrzeźniając. Helenka jednak od czasu, gdy się dowiedziała i uwierzyła, że portret przedstawia jej wujaszka, patrzyła z pewnem uszanowaniem na obraz, ale ja płatałem figle i psoty żółtemu jenerałowi, wybierając nieraz nos jego duży za cel pociskom orzechami. [Poczciwy „żółty jenerał” znosił wszystko z świętą cierpli- wością i polubiliśmy się na prawdę. Nie mogłem wytrzymać jednego dnia, aby go nie od- wiedzić. Tak zrósł się żółty jenerał z mojemi dziecinnemi wspomnieniami ściśle – a ~~a ob-~~ ~~Kiedy~~ ~~ożo~~ ~~tyleż~~ później spleść się miał w dziwniejszy jeszcze sposób z życiem późniejszem…

[Rosłem tymczasem na wierutnego urwisa. Miałem lat czternaście, kiedy ojciec mój począł zastanawiać się nad tem, co będzie z takiego urwisa. Zwiódł nareszcie walną naradę z p. marszałkiem i taki onej był rezultat: [– Chłopak wyrośnie mi na dzika

albo na bebiarzą, bo albo po zielonej się kręci albo z panną Kotkorzyńską i Helenką się zabawia. Już jest wyrostek, wąsa co ino nie widać, a ledwie go ksiądz Ignacy czy-tania przećwiczył. Ergo fora z Baszkowa, pod szkolną dyscyplinę, do Alwara z ponięciem, aby się, kiedy fortuny Bóg nie dał, mógł własnemi siły przegryźć przez życie, jak to szlacheckiemu dziecku przystało... [I oto jak się stało, że za dni kilkanaście po tej naradzie, znalazłem się z ks. Ignacym, którego w tym celu uproszono, ~~przeniesiono się~~ we Lwowie, w szkolnym konwikcie. Wszystko to stało się tak prędko, że ~~nie miałem~~ nawet czasu, pożegnać się, jak się należało, z p. marszałkiem Oleszą, z Helenką, z panną Kotkorzyńską i z — żółtym jenerałem. [Śniło mi się tylko w ostatnią noc przed odjazdem, że stanął przedemną żółty jenerał trzymając za rękę Helenię i mrugając ku mnie oczyma, rzekł ot tak, jakby: Do widzenia!

II

Miał wielką rację kochany mój ojciec, wysyłając mnie czemprędzej do szkół lwowskich, bo istotnie ~~w Baszkowie~~, ~~b~~ kaduk wie, coby ze mnie było wyrosło w Baszkowie. Takoż, choć mi się zrazu serce krajało od żałości za ojcem i za wszystkimi, których zostawiłem, to przecież wkrótce sam w mym chłopięcym rozumie uznałem, że czas był najwyższy zacząć się przecierać i szlifować pomiędzy ludźmi i w naukach. [Ojciec, aczkolwiek słabej bardzo fortunki był szlachetka, nie żałował ani kosztów ani starania i miałem pomieszczenie w konwikcie pana Borosza, przeznaczonym dla szlacheckich dzieci. Jakoż mi się ciężko sromać przyszło, gdy ja piętnastoletni blisko już drągal, a nadto chłop nad wiek i lata zmężniały, znalazłem się obok młodszych i mniejszych pacholąt, z których każde zakasować mnie mogło swoją nauką!... [Szczęściem byłem hardej duszy i niepospolitej ambicyi, więc nie czekałem admonicyi pana Borosza, ale zabrałem się tęgo do nauki, a że mi też Bóg trochę sprytu i przyrodzonych nie odmówił zdolności, więc rychło zrównałem się z towarzyszami. W domu ks. Ignacy przynajmniej mnie trochę podćwiczył w łacinie — przytem nie był ledajaki, byle dalej głowę nadrabiać. [Za trzy lata nikt by nie był poznał wiesza z Baszkowa, tak się przepolerowałem na łacinie szkolnej. Ojciec zamyślał, ażebym się oddał zawodowi palestranckiemu, bo to zawsze najpiękniejsza była kondycyja i z przyszłością zgodna. Ale palestry takiej, jaka była ona sławna polska, już wówczas nie było nawet ani w Lublinie ani w Piotrkowie, a cóż dopiero we Lwowie, gdzie Niemcy już tego czasu wszystko byli zgruntu poprzewracali. [Aby się dostać do forum szlacheckiego, trzeba było długo i dobrze ćwiczyć po niemiecku — a na niemczyźnie czy strapić się było niesłychanie trudno. Czy to przewidywanie tych trudności, czy zrządzenie losu było, czy wreszcie moja niesforna natura ku temu skierowała, dość że zamiast pójść po regule szkoły, rzuciłem się do całe innego kunsztu, o którym zgoła nigdy mój ojciec nie myślał a i ja nigdy przedtem myśleć nie mogłem.

[Miałem kolegę, poczciwego chłopaka, który porzucił szkoły i oddał się skłonnością wrodzoną pociągnięty na naukę do malarza Włocha, signora Graccia, który mieszkał we Lwowie a był ogromnie czczony i lubiany, to kunsztmistrz miał być nie lada. Razu jednego poszedłem odwiedzić mego towarzysza w malarskiej pracowni. Widok jej niesłychanie mnie zajął i imaginacyą młodzieńczą do głębi poruszył. Oprócz poczciwego gołego generała i obrazów kościelnych nie widziałem żadnych prac malowideł — tu pierwszy raz [illegible] ujrzałem. [W dużej, wysokiej i jasnej pracowni porozwieszane były mnogie obrazy w ślicznych złoconych ramach, a wabiły mnie przepychem kolorów i rozmaitością treści. Patrzyłem się i napatrzyć nie mogłem, na te gotowe już lub malujące się dopiero obrazy, wystawiające to sceny mitologiczne, to kontrfekta, to bitwy rycerstwa itd. Signor Graccio utrzymywał całą szkołę, mnóstwo uczniów zajętych było zawsze w sali. Przyglądałem się w duszy z zapałem [illegible] nad tem, co to za piękny kunszt jest to malarstwo. [Raz mnie mój przyjaciel zawiódł do samego sanctissimum to jest do gabinetu samego mistrza signora Graccia. Ujrzałem tam mnóstwo pięknych rzeczy, a między innemi zwróciło moją uwagę płótno ogromne, obwieszone białą serwetą, na którem węglem porobione były niezgrabne [illegible], wymiary i zygzaki, brzydko i niezgrabnie, jak mi się to zdało. [– To śliczny będzie obraz! – zauważył mój przyjaciel, a gdy nie się zaśmiałem z owych, kazał mi przyjść za kilka tygodni. [Kiedy przyszedłem, zaprowadził mnie znowu do gabinetu mistrza, i o cudo! z tych zygzaków i bohomazów zrósł przepyszny obraz!... Przedstawiał on bitwę chocimską rycerstwa, podobno nawet naszego polskiego z bisurmany. Śliczny to był widok i oka od niego oderwać nie mogłem. Czarodziejstwo sztuki, która zda się od Stwórcy wzięła sobie moc stwarzania z niczego, olśniło mnie i taki potężny wpływ wywarło na młody umysł — że, ot aby długo nie rozpowiadać, za kilka dni byłem w pracowni malarskiej jako uczeń... [Chodziłem obok tego i do szkoły co to była za nauka! Straciłem do niej z kretesem ochotę i już całą duszą oddałem się malarstwu. Za dwa lata już się próbowałem nawet w kompozycyach, a cóż dopiero była za radość, gdy p. Stachowicz, sławny na on czas malarz polski bawiący ze Krakowa przez czas jakiś i odwiedzający pracownię Graccia pochwalił jeden z moich bohomazów i talent malarski mi przyznał.

[Babrałem się tak w farbach z prawdziwym zapałem, gdy razu jednego zawitał do mnie z Bagłokoła Ks. Ignacy a gdy się dowiedział moich sercowych zamiarów, opowiedział, że przyjeżdża po mnie, że ojciec mój mocno niedomaga i gospodarki już pilnować nie zdolny, że straciwszy nadzieję, aby się na moją naukę łożone koszta wypłaciły, uważają że jakoś za mnie nic będzie trochę pociechy ani dla ołtarza ani dla kałamarza, jam za głupi, aby zostać starostą, a zanadto już mądry, aby dać zrobić z siebie kapucyna itd. itd. – że zatem kazał mi się spakować i wracać na wieś stante pede. [Zawitałem tedy napowrót do kochanego Bagłokoła. Miałem już lat dziewiętnaście, urosłem w chłopa sążnistego, wąs mi się gęsto wysypał pod nosem — tak że mnie mało kto poznał, a nikt się nadziwić nie mógł. Osobliwie dziwne było nasze powitanie z Helenką. Ja [illegible] od 2 [illegible]

marszałkową Olesią pytałem skwapliwie o Helenkę, myśląc, że wybiegnie do mnie jak dawniej ma-
luczkie dziewczątko w trzewikach i różowej sukience — ona zaś usłyszawszy, że powrócił Józio wyrwała
się z drugiego pokoju, pewna także, że obaczy znajomego sobie malca w parcianym chałaciku...
[Jakież było nasze zdziwienie, kiedyśmy się nagle po tylu latach ujrzeli. [— Józio! — zawołała He-
lenka lecz ujrzawszy przed sobą wysokiego młodziana z wąsikiem już prawie [illegible] i z małym uśmiechem
zarumieniła się i poprawiła: [— Pan Józef... [— Panna Helena! — zawołałem uradowany i gdybym
się był zawczasu nie umitygował, byłbym objął Helenkę i uściskał i ucałował po dawnemu... [Co
za prześliczne dziecko zrobiło się z Helenki! Miała wówczas lat jakby dwie piętnaście i podobna była
do pączka, który gdy się pod okiem w pełny kwiat rozwija... Biała, nadobna twarzyczka odbijała
prześlicznie od czarnych włosów w warkocze splecionych, oczki pałające ogniem, złagodzonym dziewiczą skro-
mnością, zgadzały urocznie z uśmiechami, a na rumianych ustach kwitnął słodki wdzięk prostoty i we-
sołości... [Zmieszała się i widocznie zapłoniła, widząc przed sobą dawnego towarzysza zabaw dziecinnych, ale
po chwili podniosła swój wzrok i zmierzyła mnie ciekawie, że urosłem tak i zatem się zrumieni-
łem wzajem. Źle się uczułem przedstawiony pannie Helenie, bo jej tak już teraz nazywać wypadało,
gdyż pełny jej uszanowania, wyglądałem bardzo nieśmiało i niezgrabnie... Lecz panna Helena zwróciła
na mnie od razu szlachetnie urocznie, uwolniwszy mnie w prawdzie tych przedsięwzięć... [Wrażenie
to złączone z wspomnieniami lat dziecinnych otoczyło ją w imaginacyi mojej niewypowiedzianym
urokiem — a przytem wracając po dłuższej nieobecności pod dachem rodzinnym, przyjemne było
lubym rozmyślaniom — jak to szybko i pięknie panny rosną i jak to źle, że dzieje się
temu... przypominałem przed panną Helenką prędko wszystko... [Wiele się zdziwił i zgorszył mój oj-
ciec gdy na drugi dzień zaraz ujrzał, że zamiast pochlebnych świadectw szkolnych wyciągam
z mego podróżnego węzełka zabazgrane ołówkiem papiery i malowane płótna, farby i pędzle...
Gdym się zwierzył przed nim, czem się też po za szkołą trudniłem, zżymał się nie pomału, bo
jako szlachcicowi starej daty, wydało mu się to całe niepotrzebne, próżniacką zabawką, niegodną
szlacheckiej kondycyi. [— Widzę już dobrze — odezwał — że z Waści nie będzie już pożytek dla
nauki i że nie zdała się ona tej pustej główki. Zostań tedy, a weź się koło roli chodzić i po-
rzuć mizerną zabawkę, której się nauczył w świecie koślawić... [Zostałem tedy w domu, a
często znosić musiałem gorzkie przymówki ojca, do których dołączał także swe uwagi i p. mar-
szałek Olesza. Ale jakoś w kilka tygodni zdołałem udobruchać starych. Z początku bo-
wiem kazano twardo ojcu po raz malować, to krzywo odwracał, śmiejąc się, gdy
mi indygnacya twarz paliła — ale gdym wymalował św. Stanisława do górnego ołtarza
w kościółku, po którą to ~~to mnie~~ wskazówkę kiedyś dawniej z łzami mnie prosił uściskał i wy-
sławiał, gdym wymalował portrety ojca i p. marszałka i najpiękniejszy Helenki, bo nie
nietylko ~~cały~~ mój kunszt ale i całą duszę przybić poznałem — to jakoś mniej już krzywem
okiem patrzał pełnym na biednego malarzyka i przyznawał swobodnie malować pozwolono.

[Przy tem wszystkiem jednak musiałam się żwawo wziąć do gospodarstwa, i wyręczyć ojca we wszystkiem, bo życzył sobie tego i nadto sam już, niedomagając często, zajmować się tą pracą nie mógł. Tak też rozpocząłem życie nowym dla mnie, ale pilnym, pracowitym trybem. Położyłem też wkrótce krzyżyk na wszystkie żarciki i zachcianki, które przedtem uspokoiłem godziwie — i pogodziłem się z myślą, że dziś żywot cały w zaciszu [illegible]. Bojan a prawdę nie przyszła mi tak trudno ta rezygnacya, bo widziałem, że skromne to (i jednostajne) życie opromienią mi szczęście, które choć w niej byłem [illegible], ugruntowałem na zawsze — i oczy przyszłej Helenki... [Z panną Heleną odnowiłem wkrótce przyjaźń długiem rozłączeniem zerwaną — a choć nie mogły być one tak swobodne i proste, jak były przed laty — choć przecież panna Jadwiga Kołłątajówna nie dała już nam teraz ani chwilki pozostać sam na sam — przecież zostały one nawet coraz ściślejszem, coraz silniejszym ogniwem uczucia, którego jednak żadne z nas, nawet w chwili marzenia, w najtajniejszej myśli (nie) ośmieliło się zupełnie nazwać po właściwem imieniu... [Jednego razu, a było to jakoś w święto czy niedzielę — byłem znów gościem u p. marszałka Olizy. P. marszałek powiadał jak zawsze o panu wojewodzie Łosiu i o dworze królewskim, a ja usiłowałem według jego informacyj nakreślić konterfekt p. wojewody, co jednak w żaden sposób udać mi się nie chciało. Wszystko zdaniem p. marszałka było podobne, bardzo i peruka, i szpada nawet podobna, tylko nosa pana wojewody ani razu było trafić dokładnie. Rysowałem tedy i męczyłem się nad [illegible] dzisiejszego wieczora p. Heleny, gdy nagle (rzekł) p. marszałek:

[— Daj Waść pokój panu senatorowi i jego nosowi, który miał szczęście u Boga (tj. p. senator a nie nos jego) — a kiedy już chcesz mieć coś do roboty, to i przypomnij (przyjaciela starego), ot choćby [illegible] i Helenka zapomnieliście teraz na wieki! [— Któż to taki? — zapytaliśmy równocześnie z panną Heleną. [— A generał z bursztynowego piętra! [— Żółty generał! Żółty generał! — zawołałem wydając okrzyk i (trudno mi było) pojąć, jak mogłem zapomnieć o żółtym generale: nic prawie (dłużej) towarzysza figlów dziecinnych. [— Ale wszakże dziadunio powie nam choć teraz, kto był ten żółty generał? — zapytała Helenka. [— Jest to pan Józef Suchorzewski, brat rodzony twojej matki, Helenko — rzekł p. marszałek — Rodzina Suchorzewskich oddaną była zawsze całą duszą partyi saskiej i lubiana (bardzo) przez dwór u Sasów. Pan Józef Suchorzewski wstąpił nawet do wojska saskiego a August III zrobił go saskim generałem. Jako taki jeszcze wymalowany jest na owym starym konterfekcie w komnacie bursztynowej. [— I znał go osobiście p. marszałek dobrodziej? — zapytałem. [— Raz tylko jeden widziałem go, choć znam [illegible]. Pan Józef był zajadłym przeciwnikiem Stanisława Augusta, a kiedy zawiązano konfederacyę barską, przyjechał z Drezna, bo tem zawsze marzył, aby na tronie polskim Sasa nie stało, i zabawił dni kilka między konfederatami i generalicyi [illegible] ofiarował. Widziałem go nawet, jak gdy [illegible] obozy, p. Józef (jeszcze) w żółtym fraku na czarnym koniu zjawił się z [illegible], i choć się wiara konfederacka do wszelkich [illegible] jego śmiesznej figury, [illegible]... [— I nie przyszedł go dziadunio bliżej, czy był mężnym rycerzem? — zapytała Helenka. [— Nie zbadałem się o to — odparł p. Oliza — bo ta,

ki był mój dziadek nie pchał się do wielkich panów, choć by był w pokrewieństwie. Jeżeli
chciał znajomości, to mógł się o mnie tak dopytać, jak ja o niego. Niech mu to będzie nie-
zapomnianem i niewymawianem tej, Broń Boże, bo nie znałem onego i nie widział, ale nie pamiętał
nigdy o swej rodzinie... – Więc i po życiu matki mej nie zbliżył się do was?... – zapytała
Helenka. – Nigdzimy o nim ani marnego słówka nie słyszeli nigdy tej, nikt się z naszej familii nie
zwracał do niego... Słyszałem tylko o nim długo i to nie bardzo piękne rzeczy. Opowiadano, że był wy-
rozumiem w niedowiarstwie a lubił się tej z [illegible] zabawić... – Czy był żonaty? – zapy-
tałem. – Nie podobno. Ale romansy się plotły nieforemne. Jeszcze się jakiejś [illegible]
dopytał, co go potem za nos wodziła po świecie. Ale w [illegible] przejęła wszystko, a to mu jedne
z [illegible], to drugiej się przeczytał... – To pan generał Józef musi być bardzo [illegible] nie-
kiem? – Jeżeli jest – odpowiedział p. Olega – choć wątpię, aby żył dotąd. Starszy był ode mnie,
a pewnie mi jeszcze półowna długa... Ale oto, co chciałem powiedzieć, panie malarzu. War-
to by go odmalować na nowo, bo pewnie gdzieś pod [illegible] go musiał w [illegible]. – Z naj-
większą chęcią – zawołałem – i tak zdaje się odwiedzić starego znajomego. Panno Heleno, może
pójdziemy zajrzeć żółtemu generałowi? – Nad moje spodziewanie p. Helena zgodziła się na propo-
zycję, a że p. Jaguszka gdzieś się w swej aptece zakrzątała, więc poszliśmy sami na
nasz [illegible]. Podałem ramię Helenie, przypominając, że tak właśnie przed laty szliśmy po
raz pierwszy do [illegible], ale odstałem [illegible] i szliśmy tylko obok siebie... Mój Boże, jak
to się zmieniło w starej [illegible]. Stare mury [illegible] przyjęły nas [illegible], [illegible] i pan mar-
szałek [illegible] – nowy tynk odpadł, jakby nie był; wszystko było szare i ponure... W
komnacie na pierwszem piętrze zastaliśmy na dawnem miejscu żółtego generała, ale się mocno
postarzał i [illegible]. Żółty frak zrobił się prawie szarym pod grubym pokła-
dem kurzu, [illegible] zwisła jak na trupie, a biała pudrowana peruka [illegible].
– Witam! [illegible] generale! – [illegible] – żółty [illegible]! – zawołaliśmy oboje z Helen-
ką, patrząc na stare, [illegible], malowidło. Żółty generał z gwiazdą orderową na piersiach, z
trójgraniastym kapeluszem pod pachą stał jak przed laty i patrzył przed siebie [illegible] i [illegible]
[illegible] wzrokiem – ale mimo to zdało mi się, jakoby twarz jego na [illegible] posta-
ła, nie [illegible] się [illegible] i jakoby [illegible] się [illegible], żeśmy go sobie przecież przypo-
mnieli. Tak staliśmy chwilę patrząc i dawne czasy dziecinne stanęły nam żywo przed oczyma.
Spojrzałem na Helenkę, śliczna jej postać odbijała [illegible] od starych murów i [illegible]
konterfektu. – Panno Heleno – rzekłem – czy pamiętasz, jakeśmy się to dawniej przestraszyli
żółtego generała... Wówczas panna Helena była malutką Helenką i tuliła się do mnie,
a ja obejmowałem ramieniem jej drżącą od trwogi kibić... – I pod wpływem tej nowej
reminiscencji ująłem ramieniem i Helenę i chciałem ją jak dawniej objąć uściskiem... He-
lenka [illegible] się nie opierała i drżała jej malutka [illegible] – ale [illegible]
się [illegible], [illegible] jak siostrzyczka i [illegible] na mnie, [illegible] z [illegible] uśmiechem:

[– Za długo pan Józef pamięta i zanadto śmiało sobie przypomina! [ ] jak łatwa sarneczka zbiegła szyb-
ko na dół... [Ja tymczasem zostałem na górze ścigając ją rozkochanym wzrokiem a gdy mi zniknęła spoj-
rzałem na żółtego generała, który zdawał się na pół ironicznie, na pół dobrodusznie uśmiechać. [– Za mną,
Mości Generale – zawołałem – pójdziesz Waszmość zewsząd, bo ci to nadto może! Śmiejesz się Waszmość
ze mnie, że mi się panna Helena podobała a sam te Niemkinie ładne lubisz, niecnoto! Przeniesiemy
cię ładnie z domu do kąta nowej górki, rozejdź i pożyjesz order, bo Wodecznie zbłaznować. A na tw-
rzy przyjdzie się tylko trochę barwy, bo inny się przebrał mundur, Mości generale saskiego autoramentu! Ale
że to pamiętaj Waszmość, że przysięgam na twoją szlachecką generalską, że panna Helena musi być
moja, jakem żyw, choćbyś prosić miał o protekcję dla mnie w tej sprawie Szwejcara, tego
Komorata, u którego na służbie ... bo był farmazon, Mości Generale i ładne Niemkinie lubił... (Czy tak?)
[Puste te i całe niemądre słowa wyrzekłem w napadzie dobrego humoru, bo mnie miła
przygódka z panną Heleną rozweseliła – ale ledwom je wyrzekł, usłyszałem wyraźny, głuchy głos:
[– Tak! [Lęk mnie zdjął mimowolny i spojrzałem się z trwogą na żółtego generała, czy
to on na prawdę wyraźnie przyjmuje... Było to jednak tylko echo, które stare puste mury
bursztyny, powtórzyły ostatnie moje głośno wyrzucone słowo... Choć zaraz wytłumaczyłem sobie naturalnie,
czym było to echo, przykro mi było, że choć żartobliwie i żartem wspomniałem imię panny
Heleny wśród z niemiłym imieniem Księcia piekielnego, a że byłem w pobożnym wychowany
domu, żałowałem szczerze tego głupiego żartu... [Wziąłem stary Kontrefekt, odwróciłem nim parę
razy o ziemię, aby zeń trochę kurzu uleciał, i wyładowawszy na barki zaniosłem do domu, aby
go odnowić. Choć, jak to sam już przyznałem, nie byłem byłem w kunszcie malarskim, jednak
byłem go potrafił, aby poznać, że portret żółtego generała wyszedł z pod niepospolitego pędzla. Zajęło
mnie tedy tem bardziej i z wielkiem zamiłowaniem rzuciłem się do odnowienia p. generała, który
był świadkiem moich chwil najszczęśliwszych. [Ani się spostrzegłem jak minęło dwa lata od czasu
mego powrotu do Krzyżtoszoła... Panna Helena pobierała tymczasem ... wody, z której
wychodziła róża cudowna!... Już teraz moje uczucia ku niej wyłoniły się z niepewnej mgły uczuć
młodzieńczych, z naiwnych przyjaźni i przywiązań – mogłem już zformułować jasno mój
stosunek do niej: Kochałem ją całą duszą, całem sercem, całą istotą moją... [Ale nudzić tu
będę wam całą tą historją mej miłości – dla ludzi obcych nudną jest taka opowieść, może dla
tego, że o jeden czyny sposób wypowiadamy ją zwykle tak małymi słowy taką burzą i światłem,
jaka się w duszy się kryje... [Powiem chyba, że mimo wielkiej skromności, która kluczem obły-
dla zamykała różane usteczka Helenki i trzymała na uwięzi jej czarne oczki, mimo z-
tych ustek wyrwało się słodkiem słówko, z tych oczek wychodziło pomyślnem spojrzenie, które
kazało mi wierzyć, że nie kocham sam tylko, że mogę liczyć na wzajemność. [Starzy uważali
dobrze, co się święci i nie przeszkadzali temu, owszem trafiało to w ich życzenia. I oto raz
po długich tajnych naradach p. Olesy z moim ojcem, do których i ksiądz Ignacy był przy-
puszczony, wziął mnie ojciec na kobierzec, a gdy padłem mu do nóg z życzeniem

mego gorącego afektu, wspomniał mnie ojciec i pouczał, aby słówko tej świętej rzeczy nie brał i ka-
zał mi się ubrać świątecznie i sam tak się ubrawszy, zawiódł mnie do p. Oleszy, aby prosić o
rękę p. Heleny. [Chwila ta rzadka w mem życiu streściła się w tem, że gdy Helenka, ob-
lana rumieńcem i z drżeniem od wzruszenia rękami podała mi rękę na zgodę, oblała
potem ją łzami, biała rączkę niezliczonymi pocałunkami, chcąc podziękować od tego szczęścia,
które zrodziło się w mnogości słów, od uniesienia i szalonego zachwytu, który mi zmącił głos i odjął
przytomność... [Potem padłem płackiem do nóg ojcu i panu Oleszy i ~~[illegible]~~ zwróciłem się
znowu z płaczem, ściskałem i całowałem ich drogie stopy, chyląc korne głowy pod ich błogo-
sławieństwem... Potem rzuciłem się znowu na kolana przed moją Heleną, a potem uczyniłem
to samo przed księdzem Ignacym, który był tam obecny, a potem wreszcie przed panną Szczęsny-
ką, która płacząc z rozrzewnienia broniła się z zabawną roztropnością przeciwko przedmiotowi gdy
prawie siłą ~~ją~~ objąwszy i całowałem jej kolana... [O Boże mój! co to za pełny był puhar
rozkoszy i szczęścia, jak się przelewał uniesieniem niewypowiedzianej radości!... Ty sam Boże w-
idziałeś to szczęście, że zbył wielki dla serca śmiertelnika, boś ~~a puhar ten~~ w swojej
mądrości swej dozwolił łzom, aby i puhar ten zmącić parę kropli bólu ciężkiego i rozpaczy...
[Jeżeli tak było wolnie. Czy myślałem wtenczas, że za cierniami, które oplotły dni moje,
wszystko śmieje, że tuż za wschodzącem słońcem pędzą czarne chmury, co światła zagrodzą?...
[Gdybyś ~~[illegible]~~ przyszedł gość samemu sobie, że wkrótko grzeszne chwile, które po owym wzruszeniu
szczęścia nastąpiły. W szczęśliwem szczęściu i ból mój równie silny choć odmienny
uczuć — aby niedługo mi przypomnieć, że to nie mogło być marzenie śmiertelnika, ale
opisanie. Dla tego skreślam tu ~~[illegible]~~. [Zwaliły się na mnie niebawem ciężkie bolesne,
krwawe ~~[illegible]~~ Jeszcze nie wypełniłem puhara szczęścia — a już mi los goryczy podał obfity.
Zaledwie oznaczonym został ~~dzień~~ termin ślubu i zajęliśmy się przygotowaniem do wesela, gdy na-
gle mój ojciec ciężko zachorował a po kilku tygodniach choroby ducha swego świętego Bogu
oddał. Ostaniło się blisko żałoby życie moje, niedawno tak upromienione szczęściem. Żal sro-
gi, okrutny złamał duszę moją... Gdyby nie pociecha religji, gdyby nie czułe starania
księdza Ignacego, p. Oleszy i panny Heleny, byłbym przeszedł z boleści w dziwny, groźny stan
martwoty, która już ołowiem osiadała była na strapionej duszy... [Powoli jednak przyszedłem
do siebie. Ból zwolna ustąpił cichej żałości, uspokoiłem się, pogodziłem z wyrokiem Bożym.
Ślub mój z Helenką odłożył się na rok cały, ani ja ani ona nie byliśmy nigdy prze-
ciwni, aby ~~[illegible]~~ smutny miał ustąpić na kobiercu wobec niedawnej jeszcze mogiły ojca. [Przyszedłszy
nieco do równowagi począłem myśleć o uregulowaniu spuścizny ojcowskiej, o tym kawałku zie-
mi, który stała mi się teraz jeszcze stokroć droższą, od kiedy przyjęła na spoczynek zwłoki
najdroższego mego ojca. Wkrótce z biegu interesów wypadło mi pojechać do Lwowa. Miałem tam
odebrać małą sumkę, należącą się jeszcze ojcu, a dziś potrzebną mi bardzo do podźwignięcia
upadłego mocno gospodarstwa. [Niepotrzebuję opowiadać, jak niechętnie wybierałem się w tę

15. [Magio chciał mi właśnie coś odpowiedzieć, gdy nagle wyszedł z swej Kancelaryi sam mecenas i stanąwszy na progu spojrzał na nas groźnie(?). Dyzma się rzucił natychmiast do roboty, bo bał się jak ognia surowego mecenasa — a ja widząc, że nie ma czasu do dalszej rozmowy, zabrałem się do wyjścia. [Interes mój we Lwowie był załatwiony i mogłem natychmiast wracać do Bazylowska(?). Byłbym też to zrobił bez zwłoki, bo i serce stęsknione rwało się do powrotu, a byłbym tym sposobem uniknął mimo(?) tego wszystkiego, co później na mnie spadło(?), gdyby nie moje zamiłowanie do malarstwa, które mi tym razem srogiego miało wypłatać figla. Idąc przez ulicę, spotkałem mego kolegę z pracowni pana Grota(?), który na mój widok aż wykrzyknął z uciechy i zdziwienia. [Opowiadziałem mu, co robię i po co przyjechałem, gdy on mnie naraz zapytał: [— A kiedy jedziesz? [— Chciałbym dziś. [— Szkoda, nie jedź, zabawisz się z nami wybornie. Przyjechał tu znowu p. Stachowicz i malujemy dekoracye teatralne dla p. Bogusławskiego. Jest nas ośmiu przy tej robocie, malujemy bawiąc się wybornie. Zaglądnij a obaczysz. [W słabą(?) mi wygodzono stronę. Koleżka słowami zgiął mnie od razu(?). Odłożyłem mój ~~pobyt~~ odjazd i poszedłem z nim do pracowni. Wesoło tu było i gwarno, aż miło. Przed ogromnemi płótnami na małych drabinkach malowali malarze i uczniowie dekoracye do Alkazara(?), do Amazonek i do innych sztuk, które p. Bogusławski miał wystawić w amfiteatrze w ogrodzie Jabłonowskich. Śmiechu, gawędy, śpiewu i żartów było przytem niemiara, choć pracowano pilnie i bez przerwy. [Ledwiem to wszystko opatrzył, tak zaraz folgując ochocie, zrzuciłem z siebie kubrak(?), przepasałem się płóciennym(?) lepszym fartuchem i wlazł na jedną z wolnych drabinek i zmagał(?) się z robotą. Przyszło mnie z śmiechem i oklaskami, dano farb i pędzli i anim się opatrzył a już z zapałem skopiowałem(?) jakąś bogatą dekoracyę z starożytnym ołtarzem. [I tak mijał dzień jeden i drugi a ja nie wyjeżdżałem — aż miesiąc(?) minęło(?) dwa tygodnie a od czasu mego wyjazdu trzy niemal(?) zakładałem(?). I kto wie, czy byłbym się wyrwał tak prędko, gdyby nie list, który mi jednego dnia przyniesiono z Bazylowska. List ten był wypisany zaraz po

po moim odjeździe, ale że nie znano mego adresu, więc teraz dopiero go odebrałem. W liście
tym zawierała się bardzo smutna wiadomość. Pisała go panna Agnieszka, donosząc, że za-
raz na drugi dzień po moim odjeździe z Białegostoku p. marszałek zachorował niebezpiecznie,
i że z tego powodu wielka rozpacz w domu panuje. [Do listu panny Kotkorzyńskiej dopi-
sała się Królewska Helenka prosząc mnie, abym wracał natychmiast... Zmartwiłem się mocno
tą smutną wieścią — ale gdy spojrzałem na datę i obliczyłem, ile dnia ~~tygodni~~, kiedy list
był pisany ~~...~~, miejsce żalu zajęła we mnie trwoga i straszny owładnął niepokój. Począłem
sobie robić gorzkie wyrzuty, że natychmiast po załatwieniu interesu niewróciłem do Białysto-
ku i zmartwiony, ciężkimi obawami przejęty natychmiast pod noc wyjechałem. [Miałem
przy wózku parę dzielnych i rączych jak strzały rysaków a stary Onufry, którego zawsze
wziąłem powozić, to był złoto. Konie darły jak ptaki, przybyliśmy prawie bez żadnego popasu,
choć że Lwowa do Białegostoku było trzynaście mil ogromnych. [Zatem na parę godzin przed
południem stanąłem w Białymstoku. Kazałem Onufremu jechać do mego dworku a sam bliż-
szą ścieżką poleciałem na wzgórek do dworku p. marszałka. Miałem jakieś złe przeczu-
cia — coś mi tajemnie ściskało serce... [Stanąłem przed bramą, była zamknięta. Począ-
łem pukać, ale daremnie; nikt nie otwierał. Niepokój mój wzrastał ~~...~~ teraz bardziej, przesa-
dziłem tedy płotek i znalazłem się na podwórzu... Pusto i cicho było na niem, jak na
cmentarzu. Pies tylko zaszczekał z budy, ale poznawszy mnie ucichł wkrótce. Biegnę do
drzwi, chcę otworzyć — zamknięte, pukam — nikt się nie odzywa. Chciałem zapukać do szyb, ale
okiennice były przywarte... Zaglądnąłem ~~do~~ przez szpary do środka, widzę puste ściany i sprzęty
w nieładzie... [Lęk ~~mnie~~ zdjął mnie, serce zniecierpliwione bić prawie przestało... [Co za
dziwny wypadek mógł zajść w dworku p. marszałka?... [Niewidząc innej rady począłem głośno
wołać i stukać z całej siły do drzwi — aż po dobrej chwili otwarły się drzwi od stajni
i pokazał się stróż. [— Gdzie pan marszałek? — pytam go tłumiąc oddech w sobie. [— Ho, ho
— powiedział chłopek — gdzie pan marszałek! Pod ziemią już od dwóch tygodni. Już i tra-
wa po nim zarosła! [Żal ciężki ścisnął mi serce — zdało mi się, że straciłem dru-
giego ojca. Chwilkę stałem jakby piorunem rażony a wreszcie pytałem dalej: [— A gdzież pan-
na i ~~pani~~ Kotkorzyńska? [— Ach, nie wiem, panie! [— Jak to nie wiesz, to gdzież są, zaś
mogli! — ~~...~~ zawołałem. [— Wyjechali. [— Dokąd? [— Co ja wiem, miły panie. Mnie zo-
stawiono, abym dom pilnował, póki nie zjedzie profesor. [— Mój głowiczku, mów, co się stało
i jak, bo oszaleję! — zawołałem trzęsąc chłopem jak gruszą. [— Albo ja mogę wiedzieć,
panie! Jakoś w tydzień po śmierci nieboszczyka pana, zajechał tu ktoś ~~...~~ z jakimiś
niezgrabnymi panami. Było ich dwóch — a przyjechali jakoś z południa. Wiem tylko, że dużo
było gadania we dworze, obie panie cały ~~...~~ dzień przesiedziały, panna płakała. A pod wieczór
widziałem, jak pod pozór, pod siłą wsadzili ~~młodą~~ pannę i starszą panią do powozu — ~~...~~

tak szczęśli jak się zjawili. Panna płakała i mdlała, ciotka ponosiła się mdlała, gdy już mijali bramę – ot i wszystko... [– A ~~Ignacy~~ Jan był przytem? – zawołałem prawie obłąkany z zdumienia, przestrachu i boleści. [Jan był starym sługą pana marszałka, z którym całe prawie życie przepędził. [– Jan jako wrócił tylko z pogrzebu nieboszczyka pana, zapadł z braciszkiem w gorączkę i chory leży... [– Gdzie?... [– U księdza plebana. [Dopiero teraz wpadło mi na myśl, że przecież ksiądz Ignacy najlepiej będzie wiedział, co się tu stało i że zamiast rozmawiać z sługami, powinienem był zaraz udać się do niego. [Plebania leżała w samym klasztorze, ale w dość dalekiem, sąsiedniem przysiółku. [Pognałem tam przez pola jakby szalony. Zastałem księdza Ignacego w domu, ale tylko zdołał wystawić sobie rozpacz moją, gdy ten zaraz na wstępie przyszedł do mnie z tem zapytaniem, które ja jemu postawić chciałem. I on był zmartwiony, zaniepokojony – zniknięcie Heleny było dla niego dziwną zagadką... [Opowiadał, że po śmierci marszałka, przez cały tydzień przesiedział prawie w dworku przy Helenie i pannie Joannie, pocieszając ile możności zrozpaczone i kojąc słowami kapłańskiemi srogą boleść – ale siódmego dnia musiał ~~wyjechać~~ ~~koniecznie~~ do sąsiedniej dzierżawy, gdzie przybył biskup z Przemyśla i zwołał kongregacyą. [Gdy wrócił już było po owym tajemniczym wypadku... [Mówił, że przed tem i potem słał po mnie do Lwowa list po liście, abym przyjechał – ale nadaremnie. Ja oczywiście żadnego z tych nie odebrałem. [Myślałem, że mi serce pęknie od boleści i począłem rwać sobie włosy, wyrzucając sobie, że zabawiwszy najdłużej we Lwowie stałem się przyczyną takiego nieszczęścia a moją zgubiłem i najdroższą moją Helenkę... Wpadłem w formalne obłąkanie, furya mną miotać poczęła – tak że ksiądz Ignacy myślał już naprawdę, że pomieszania zmysłów dostałem. [Rozpacz, boleść, ... wydrążnienie ... jeżeli nie zmyły to zdrowie moje. Chwyciła się mnie maligna i straciłem pamięć tego, co się ze mną działo... [Dziesięć dni przeleżałem w gorączce... [Opowiadano mi potem, że tak się rzucałem i krzyczałem, zrywając się z łóżka, to na księdza Ignacego, to na starego Niemca lekarza, że mnie wiązać musiano... Cud to był prawdziwy, że ~~odzyskawszy~~ przytomność a z nią razem ~~wiadomo~~ pamięć tego, co się stało, nie wpadłem napowrót w śmiertelną chorobę. [Ale młodość ma rogate zdrowie i nie wypuści z ciała duszy, bo ją trzyma, jak kleszcze żelazne... Wyzdrowiałem... [Ledwo się na chwiejnych nogach mogłem utrzymać, a zaraz rzuciłem się do poszukiwań. Nuż tedy rzucać się na wszystkie strony, nuż zasięgać języka, wypytywać, wyjeżdżać na śledzić, szukać, rozbijać się po okolicy – wszystko nadaremnie... [Jeździłem do Kreiskapitana do Przemyśla, prosiłem o wiadomości, o pomoc. Kiry Niemiec wysłuchał, zadziwił się, mruknął coś o Schwere Noth i kazał ... sappermentów, wyjechał landdragonów, obiecał zrobić bericht do gubernium i zakazał ... [Waryacya – istna waryacya zapisała się ... Zdesperowałem z kretesem, bo dwa miesiące już minęły, a tu ani śladu. ~~Komisia~~ wody i ... Rzucę tedy raz do mnie ksiądz Ignacy:

Redakcja
Dziennika Literackiego.

18)

[— Takie ślepe miotanie się na nic się nie przyda. Trzeba się uspokoić i rozumnie wziąć ~~się~~ do
dzieła. W całym tym dziwnym i niepojętym wypadku zawiera się może jakaś tajemnica, jakaś szka-
radna intryga ludzka, której ażeś daremnie by rozumem dochodził, ale którą Bóg najłaskawszy rozjaśni
może niedługo. Jedź, panie Józefie, do Lwowa, do stolicy, tam się prędzej schodzą mniej więcej nici całego
kraju — tam więcej ludzi i wiadomości. We Lwowie właśnie teraz zaczynają się kontrakty — zja-
dą się ludzie z całej Polski. Szukaj wytrwale, dochodź wszędzie, nie trać rozwagi i nadziei. ~~—~~ i ufaj
Bogu, a memu przeczuciu, że wszystko dobrze się skończy. [Usłuchałem rady księdza Ignacego i wy-
brałem się natychmiast do Lwowa, mimo że mi zdrowie ciągle jeszcze nie dopisywało. Spakowałem
się na długi czas — zabrałem z sobą wszystko, nawet moje malowidła i przybory malarskie, bo
przyjąłem zamiar, wrócić z Bazylolą albo z Helenką, albo już wcale nie wracać lecz umrzeć
gdzieś w szerokim świecie. [Stanąłem we Lwowie w gospodzie i zabrałem się zaraz do moich poszu-
kiwań, choć mi je trudno było według rady x. Ignacego prowadzić spokojnie i rozważnie, bo
w sercu i głowie się paliło. Kontrakty jeszcze się nie były zaczęły, czekałem więc jeszcze na nie,
choć już nadzieję straciłem i rozpacz mnie ogarniała. [Tak minęło znowu trzy tygodnie wśród
daremnych usiłowań. Rozpisywałem listy, szukałem [illegible] szlachty z najrozmaitszych okolic po
ulicach, przeglądałem całemi dniami w Kontraktowej sali u pana [illegible] — ani śladu i ma-
[illegible] w dyrekcji policyi p. Streichera byłem, ale i ten nie umiał dać rady. [Tymcza-
sem zjechało się do Lwowa szlachty na kontrakty, co niemiara. Pokój gościnny, w którym
mieszkałem, był zamówiony przez jakiegoś szlachcica z wsi, gdy przyjechał musiałem ustąpić.
Tymczasem pomieszkania wszystkie tak były zajęte, że podziać się gdzie nie było. [Nowy zły
dla mnie kłopot — gdzie się ulokować! Wyszedłem się zaraz z rana po prostu na ulicę, pod
gołem niebem, bo w mojem strapieniu radzić sobie nie ~~umiałem~~, gdy mnie, jakby
przez Boga zesłany, spotkał mnie aplikant Dzyma na ulicy. Wiedział on już o niesły-
chanej przygodzie i zaraz mi przyrzekł pomocy, co mógł. [illegible] ze mną wszystkie
[illegible] klasztory. [Skarżę mu się, że nie [illegible] mieszkać gdzie nie mam. On mi
rzekł: [— Pomieszkania teraz tak łatwo nie znajdziesz, bo zjazd niesłychany. Ale miał-
bym sposób, tylko się trochę obawiam... [— Ah, nie lękaj się [illegible], ale radź co możesz, bo
chyba zamarznę na ulicy dzisiaj w nocy. [— Jest tu na przedmieściu Żółkiewskiem
stary dom albo raczej pałac, który należy do klijenta mego pana mecenasa. Właściciel mieszka [illegible],
dom stoi pustkami i jest pod administracyą p. [illegible]. ~~[illegible]~~ Jest tam jeden pokój,
który się ciemnym zowie, ale teraz nie ma lokatora. Mam klucz do tego pokoju,
i możesz się tam sprowadzić. Ale to wszystko stać się musi chyba w sekrecie, bo p. mecenas
może zrozumieć, że przez tego pokoju nie można dalej wynajmować. [Już mi długo miałem
zabawić we Lwowie ~~w~~ i tak miałem wyjechać na kilka dni na Podole, aby się pod
Brodami [illegible], ~~[illegible]~~ uciec gdzie [illegible] (jakiego) śladu, bo mi przychodziło na myśl, że Helenkę

19) mój gdzie go kordon wyznaczono. Przyjąłem tedy propozycyą poczciwego Dyzmy i zaraz pod wieczór przeniosłem moje rzeczy do pustego domu i do oznaczonego mi pokoju. [Chociaż zajęty byłem mojemi myślami i moim frasunkiem, przecież niemogłem nie zwrócić uwagi na to domostwo. [Był to gmach stary, niby gotyckim stylem zbudowany, ale ciężki i niekształtny. Stary był bardzo, a że nikt go nie restaurował, więc wyglądał już jakby ruina. Stał w oddaleniu od innych domów i od ulicy, od której przedzielał go ~~parkan~~ mur na pół rozwalony. ~~Do~~ ~~Koło~~ Po obu (bokach bramy rosły) ~~stały~~ dwie stare, wysokie topole, a nagie już całkiem, bo to było już pod zimę, sterczały w mroku wieczoru, jak dwa olbrzymie czarne słupy. [Dom ten był jednopiętrowy i miał żelazny długi balkon, oparty na dwóch słupach, a dźwigany przez dwie karyatydy, wystawiające ~~dwa~~ ludzkie potwory z szkaradnem obliczem, wykrzywionem w w szatańskim, szyderczym uśmiechu. Oprócz tych dwóch głównych karyatyd wszystko temu dziwacznemu domostwu za ozdobę wnosiło maszkar i larw przeróżnych, a ~~wszystkie~~ patrzyły na ciebie oczyma gniewu i ~~złości~~ jakby niedźwiedzie śmiały się do ciebie... [Przyznam się, że dom ten stary nie bardzo miłe sprawił na mnie wrażenie... było w nim coś strasznego i tajemniczego, iż zdawało się, jakoby nie ludziom ale upiorom służył za mieszkanie... Ale ja niemiałem czasu o tem myśleć. [– No i cóż, będziesz tu mieszkał? – zapytał Dyzma. [– Oczywiście, i mocno ci dziękuję za usługę przyjacielską... [– Podziwiam twój rozum, Józefie... [– A to z jakiej przyczyny? – zapytałem. [– Bo jabym niemiał odwagi przespać choć noc jedną sam w tym szkaradnym domu... Wiem ci nawet, że ludzie mówią i zaklinają się, że tam coś straszy po nocach... [– Fraszki! – zawołałem – Mam strzelbę w Głowackiej iści-wny i (~~kęsy~~ parę) Konfederackich kul w pistoletach! Przyjdą djabli ja ich zabiję! [Zbywszy tak obawy Dyzmy, oddałem klucz od mego (nowego) pomieszkania, bo z przyczyny mej podróży po nad kordon niemiałem w niem ~~zaraz~~ zostać i wróciwszy do miasta, wyjechałem. Ale i ta wycieczka przeszła bez najmniejszego skutku. Zjechałem szmat kawał kordonu, wypytywałem i śledziłem wszędzie; strawiłem (znowu) kilka dni i wróciłem do Lwowa znużony. [Wysłałem konie do zajazdu, a sam pieszo udałem się do mojej stancyi. Do pokoju mego szło się przez długi, ciemny korytarz, tak że ledwie domacać się mogłem drzwi. Domacawszy się klamki otworzyłem i znalazłem się w izbie. [Przypomniałem sobie teraz dopiero, że niemiałem żadnego światła. Zakłopotałem się tem trochę, ale pocieszyłem się zaraz, bo i tak już było mi potrzeba ~~światła~~ świecy, który księżyc świecił jasno w pełni, i oblewał całą strugą światła moją izbę. [Rozglądnąłem się po raz pierwszy dokładniej po mojem pomieszkaniu. Była to długa a wązka komnata staroświecka. Mimo zaniedbania i ruiny poznać było łatwo, że należała do świetnych jakichś, niegdyś apartamentów. [Ściany były po większej części wyłożone ciemnem orzechowem drzewem (i ozdobione rzeźbami) a sufit także cały był okryty sztukateryą. Rzeźby te były podobne owym, które oglądałem na froncie domostwa: same maszkarony i larwy szyderczym uśmiechem poprzekrzywiane. [Ozdoby te ~~f~~ dziwne nadawały całej izbie coś fantastycznego a nawet stra-

[Meble w tym pokoju dziwniejszych także były kształtów i kolorów z całą powagą po-
nurej chorowitej izby. W jednym końcu stało ogromne łoże, ozdobione sny-
cerską robotą a naprzeciw niej wprawione było w ścianę duże we-
neckie zwierciadło, z jednej ogromnej płyty, sięgające od podłogi aż pod po-
wałę. [Nad łożem tym był baldachim ~~z tafty~~ z szafirowego, ale
[spłowiałego już adamaszku. Za kotarami zwieszały się ciężkie i
rozmaitemi ozdobami wykładane łoże, usłane świeżym materacem. Wy-
ciągnąłem z podróżnego kuferka pościel i bieliznę podróżną i usłałem
sobie na spoczynek... [Wprawdzie sen nie chciał mi się przyjść
ale byłem strudzony podróżą. Położyłem się tedy i odsunąwszy trochę kotary
adamaszkowe, tak abym na komnatę mógł patrzeć — począłem
dumać. Wzrok mój jednak nie mógł się oderwać od dziwacznego
urządzenia izby. [Przy mdłem świetle księżyca patrzyły na mnie
potwory i maszkarony z ścian i pułapu — i zdawało mi się, że
się ich ożywiają i mrugają na mnie, że usta przybierane
pod djabelskim prowadzą się i będą chciały przemówić do mnie... [Byłem
odrażnego snu — ale mimo to czułem, że mi nieprzyjemnie w tej
samotnej, fantastycznej komnacie. Opatrzyłem pistolety, oparłem
szablę przy łóżku i odwróciłem się w drugą stronę, usiłując za-
snąć. [Ale w mojem położeniu sen był trudnym. Natłok myśli
cisnął mi się do głowy, a myśli te były burzliwe i przykre. Roz-
myślałem nad ~~—~~ dziwnym, niezgodnionym wypadkiem, który sprowadził
mi kłopotu a gniew rozum mój burzył i szkodził... Zdało mi się,
że mi pełnią głowę ~~tak~~ rój najrozmaitszych domysłów, przypuszczeń
i obaw, które rozum stanowiły tylko daremne usiłowania się
~~myśli~~ rozumu aby rozwiązać tę niewytłumaczoną zagadkę...

Redakcja
Dziennika Literackiego.

21.

[Gdy umysł znużony temi myślami odmawiał już prawie posługi, a serce tęskniło ulgi w [illegible] swej żałości — zacząłem przywodzić sobie na pamięć szczęśliwe te chwile, które poprzedziły ową tajemniczą katastrofę. Stanął mi jasno na myśli cały ów świat mego szczęścia, cały raj mej młodości. Przypomniałem sobie wszystkie chwile spędzone słodko w domu p. marszałka Olery, pod bokiem ukochanej Helenki, wszystkie rozmowy, które prowadziliśmy, wszystkie drobne zajścia i sceny tego zacisznego, spokojnego życia w Bałtykolu... [Nic dziwnego, że [illegible] wspomniałem także o żółtym generale z bałtyki, który przecież był jednym z świadków tej najmilszej pory mego życia... Stanęła mi żywo w pamięci owa scena, kiedy to zabierając stary konterfekt ze stołu, wziąłem żółtego generała [illegible] na świadka mej miłości do Helenki a nawet w pustym żarcie jego protekcji u Dziadzia w razie potrzeby żądałem... [Co więcej mówiłem żartem że dzisiaj byłbym był gotów powtórzyć z uwielbieniem rozkoszy, bo istotnie zastępienie [illegible] pomyśli mego szczęścia duszy... Gdyby nie uczucia moje religijne, byłbym był szczerze istotnie w moim [illegible] tercecie przyjaciela, aby on zjawił mi się w pomoc i rozwiązał całą zagadkę... [Ale wspomnienia bałtykolskiego życia szybko [illegible] targnęły mną na serce — i rzewne gniewy w rozrzewnieniu żalowie... Łzy puściły mi się mimowolnie z oczu — począłem płakać jak dziecko... [Naraz przez kotary adamaszkowe objęła mnie struga jasnego światła, bijącego z zajścia starożytnej altany... Równocześnie usłyszałem szmer lekki, jakby ciche ale wyraźne stąpanie... [Przypomniało mi się, gdzie jestem i strach mnie nagły objął zimnym dreszczem. Mimowoli sięgnąłem po pistolet i podniosłszy się na łóżku rozchyliłem kotary i spojrzałem na izbę... [Włosy stanęły mi na głowie i dech zaparł się w piersi... [Miałoż to być sen czy złudzenie oka?... Na kilka przecież, a to co ujrzałem, było tak wyraźne, tak prawdziwe tak żywe, że łudzić się nie mogłem... [Przed zwierciadłem, o którym [illegible] mówiłem, stał w pełnym swym mundurze żółty generał!... [Tak jest! on to był żywy... jakby zeszedł z płótna bałtykolskiego konterfektu... [Stał przed zwierciadłem i przeglądał się sam sobie... Poznałem tę samą twarz chudą, ściągłą, i ostro naznaczoną, te oczy czarne przenikliwe, [illegible] nos zakrzywiony i długą brodę szpiczastą... Ale twarz ta teraz przejęła mnie niewypowiedzianą zgrozą, bo była żywa i jakimś demonicznym wyrazem ożywiona... [Upiór ubrany był [illegible] najzupełniej tak samo, jak generał z portretu... Ten sam żółty frak z hoftami z szarfą i orderem, ta sama szpada biało oprawna, ta sama fryzowana i pudrowana peruka z [illegible] i harcapem... [[illegible] Stojąc przy owym zwierciadle przeglądał się sobie i swemu mundurowi. Pod pachą lewego ramienia [illegible] swój trójgraniasty kapelusz a prawem ręką dotykał [illegible]

biletarz gwiazdami...“ [Nie! to nie mogła być złuda... Upiór był żywy i uniósł się — świeca w jego ręku zabłysła się jasnym promieniem... [Zimny pot mnie oblał — chciałem ~~kr~~ zawołać nie mogłem... Wzrok mój utkwił w zwierciadło i jakby więziony czarną księgą siłą, zwrócić się od ń nie mógł... [Żółty generał przy~~patrywał~~glądał się chwilę w zwierciadle, potem oddalił się powoli w tył... Rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie w zwierciadlaną szybę — obrócił się... usłyszałem kilka stąpań cichych... i zwierciadło zgasło... [W pokoju zrobiło się znowu ciemno... [Chwilę zostałem jeszcze w mojej pozycji, jak skamieniały — aż przyszedłszy nieco do siebie, choć cały jeszcze potem zimnym oblany, wyszukałem zapałki i skoczyłem na środek izby... [Rozglądnąłem się... [W izbie było cicho i głucho... [~~Ale~~ Drzwi ~~główne~~ od korytarza były zamknięte a nikogo więcej nie było... [— Wszelki duch chwali Pana Boga!... — szepnąłem przerażony i opatrzyłem pierś zwłaszcza znakiem krzyża świętego...

(C. d. n.)

To wszystko należy do jednego zeszytu.

Redakcja
Dziennika Literackiego.

Żółty generał. (ciąg dalszy)

IV

[Nie potrzebuję opowiadać, że po takiej przygodzie sen nie rychło skleił mi oczy, mimo że byłem znużony ogromnie. Obszedłszy i oglądnąwszy cały pokój wróciłem na łóżko i począłem myśleć nad nieodgadnionem zjawiskiem. Wytłumaczyć go sobie żadnym rozumnym sposobem niemogłem – nie było to ani senne widzenie, ani majaczenie gorączki – na żywe oczy widziałem żółtego generała. [Kiedy tak leżałem cały jeszcze pod wrażeniem niewytłumaczonego zjawiska, usłyszałem jakby w sąsiednich pokojach jakiś ruch i szelest, jakby stąpanie kilku ludzi, potem nastała cisza, a za chwilę odezwał się skrzyp bramy na dworze i turkot powozu... Potem zaległa znowu głucha, niczem nieprzerywana cisza... [Nie byłem nigdy zabobonny i na męstwie godziwem nigdy mi niebrakło, ale przyznam się, że ~~cały~~ stan mój przez ten cały czas nie był od przerażenia. [Szczęściem jednak znużenie przemogło rozbudzoną imaginacyę i sen ujął mnie w swe ramiona. Zasnąłem twardo a kiedy się obudziłem, już promienie słońca oblały jaskrawem światłem staroświecką komnatę. Czułem lekki ból głowy i osłabienia, co było widocznie skutkiem rozdrażnienia nerwowego, którego doznałem wczorajszego wieczora. Przypomniał mi się zaraz upiór wczorajszy, ale wspomnienie to tak splątało z innemi snami, że prawie sam zdać sobie sprawy niemogłem, czyli to mara była senna czy istotnie tajemnicze zjawisko. [Ubierając się spojrzałem na zwierciadło, przed którem pojawił mi się był żółty generał z świecznikiem wosku. Na podłodze ujrzałem gęste krople białego wosku. A więc nie łudziłem się: co widziałem, było istotnie prawdą. Upiór zostawił po sobie ślady i to nie takie, do jakich przyzwyczajają nas baśnie o duchach, bo niebyły to ani krople smoły ani stopy wypalone, ale naturalny wosk, jakiego na świecie powszechnie używano. [Oglądnąłem bliżej zastygłe krople wosku, były świeże, nawet jeszcze kurzem nie okryte. Takie zmieszanie się rzeczywistości nienaturalnej z tem, co radbym był sobie koniecznie wytłumaczyć zwyczajnem jakiemś przyrodzeniem, jeszcze bardziej mnie skonfundowało... Niewidziałem już teraz, co o tem wszystkiem myśleć... [Jednak chciałem już porzucić wszelkie domysły, które okazały się daremnemi, gdy naraz spostrzegłem, że krople wosku znajdowały się także nieco dalej i że tworzyły niejako ślad tej drogi, po której oddalające ~~mi~~ się od lustra przemknęło mi się przed oczyma widziadło żółtego generała. [Patrzę uważniej i oczy obracam za tym śladem, jest widocznie przez spadanie kropli z świec ~~po~~ oznaczonym – i uważam, że idzie aż po ~~za~~ do owej dużej, dębowej i ~~po~~ rycerskiej roboty suto zdobionej szafy, o której przy opisaniu komnaty wspomniałem. [Tuż przy samej szafie ślady się kończyły. Co to być może u licha?... Chwilkę stałem zdumiony a potem zacząłem oglądać dobrze ścianę. Przypomniało mi się bowiem w samą porę, jako bywają po zamkach i pałacach tajemne wychody, które tylko ktoś ~~znający~~ świadomy zamku ich sekretnego otworzyć potrafi. Przypatruję się tedy

[illegible] ścianie, która ~~w tem miejscu okryta~~ (jak mówiłem już wykładana) była ~~[illegible]~~ ciemnem drzewem, na którem znajdowały się wyrozmaitsze snycerskie figle. Była w tem miejscu głowa murzyna, który miał nos przewleczony pierścieniem. Pociągnąłem za ten pierścień, próbując czy przypadkiem nie komunikuje z jaką sprężyną tajemną – i oto właśnie zaledwie targnąłem nosem murzyńskim kawał ściany poddał się i usunął... Były to małe, niskie drzwi, starannie maskowane rzeźbami... [Ucieszyłem się (jak dziecko tem odkryciem, a że cała moja przygoda nocna wielce rozbudziła moją imaginacyę, zapomniałem o wszelkiej ostrożności i tak jak stałem, do połowy jeszcze nie ubrany, przecisnąłem się przez drzwi tajemne, mówiąc sam do siebie: [– Nie sztuka zniknąć nagle z oczu, mój szanowny upiorze, jeżeli się ma takie wyjście! To i ja potrafię! [Przez drzwi dostałem się do drugiej komnaty, większej i strojniejszej niż ta, w której nocowałem. Był to pokój w formie regularnego czworokąta kwadratu. Ściany jego wybite były zielono, ale także spłowiałą już bardzo materyą, podłoga okryta była tureckiemi dywanami, które zachowały jaskrawe swe kolory mimo grubego pyłu; na ~~wisiały~~ ścianach porozwieszane były duże mapy mórz i krajów, i karty z dziwacznemi figurami. [Widocznie musiał to być gabinet albo kancelarya, bo oprócz kilku stołów, okrytych zielonem suknem i założonych papierami, stało między oknami duże biórko, ~~oparte~~ oparte na potężnych [illegible] z złoconemi ogonami delfinów. Przy jednej z ścian stały dwie duże szafy oszklone, przepełnione książkami – a kilka starświeckich sof i [illegible] uzupełniało całe umeblowanie. [Cały pokój udarzał tak jak i moja sypialnia gustem dziwacznym i mocno starświeckim, a wydawał się wcale tak, jakby od wieków nie był zamieszkany. Wszystkie sprzęty i papiery okryte były grubym pokładem ~~szarego~~ pyłu a powietrze przesycone było stęchłą, wilgotną zaduchą. [Począłem się oglądać po całej izbie i powoli, powolnie przeszedłem ją, przesuwając się aż do drzwi, które znajdowały się w przeciwnej ścianie. Potem wzięła mnie chętka przeglądnąć bodaj z wierzchu leżące na biórku i na stołach papiery, aby tym sposobem dojść, kto był dawniej właścicielem i mieszkańcem tego starego, dziwnego domu, w którym jakby u siebie broił upiór żółtego generała. [Już się zbliżyłem do biórka i chciałem ręką sięgnąć po jakąś dużą kopertę listową, opatrzoną długim adresem, gdy nagle usłyszałem tuż za ścianą, w sąsiednim pokoju, głośne, szybkie kroki i głosy ludzkie... [Przestraszyłem się i zmieszałem okropnie... Nie była to już jednak trwoga przed jakiem nowem zjawiskiem, bo dzień był biały i słońce wesoło świeciło, ale był to strach przed żywymi ludźmi, którzy zastawszy mnie nieznajomego w pokoju, i to jeszcze nawet na pół nieubranego, gotowi byli wziąć za złodzieja po prostu... A do tego zamiast być wdzięcznym za przytułek, mógłbym mój narobić przykrego kłopotu poczciwemu Dyzmie, który mnie wbrew zakazowi swego przyjaciela ulokował w tem starem domostwie... [Z dwojakiego kłopotu starałem

Redakcja
Dziennika Literackiego.

na chwilę przytomność, a tymczasem kroki i głosy zbliżyły się już do samych drzwi... Uciekać przez otwarte pośpiesznie wyjście do sypialnej alkowy było już za późno — słyszałem, że ktoś już, jak się w drzwiach poruszała zardzewiała klameczka. Byłem w prawdziwej rozpaczy... [W takiem wzięciu przykrem, rozejrzałem prawie położenie, padł mój wzrok na duży stół, o-kryty aż do samej ziemi zielonem suknem, który stał o dwa kroki zaledwie od łóżka. Na-sunął mi się jedyny środek ratunku. Szybko rzuciłem się do stołu i w mgnieniu oka zniknąłem pod zielonem suknem, które go ze wszystkich stron okrywało... [Znalazłem się w dobrem ukryciu i odetchnąłem swobodniej. Nikt mnie pod stołem wyjrzeć nie mógł, ale i ja też nic widzieć nie mogłem. Położyłem się na ziemię, nawet oddychać nie śmiejąc, i przyczaiłem się słuchać... [Usłyszałem jak się drzwi otworzyły i jak przez nie weszły dwie osoby. [— Niech pan zaczeka — usłyszałem głos nieznajomy — zaraz uwiadomię pana generała, który zapewne tu zaraz przyjdzie, jeśli już ubrany... [— To pan generał nie wstał jeszcze? — usłyszałem głos drugi, znajomy mi bardzo dobrze. [~~Usłyszałem~~ Był to głos pana mecenasa Szalborskiego, poznałem go zaraz, bo ostry był i syczący nieco. [— Wczoraj późno wrócił do domu — odezwał się głos nieznajomy — pan generał był na balu u p. feldmarszałka-porucznika Arnconta... [Rozmowa, jak to widać, toczyła się o rzeczach obojętnych i drobiazgowych — ale dla mnie była ona niezmiernie ciekawą. Zawierała ~~ona~~ bowiem szczegóły, które mogły mi może wytłumaczyć wczorajsze dziwne zjawisko. [Mówiono o generale, i o balu, na którym był wczoraj — a ten mój upiór właśnie przeglądał się w zwierciadle, jakby chciał obejrzeć swój mundur paradny! Atoli wnioskując tak, musiałbym przypuszczać, że był to istotnie żywy „żółty generał", którego kontrafekt poznałem w Bazyliku!... Czy to być mogło?... Miałżeby „żółty generał" żyć jeszcze i dotąd, i stałym gościem być od pana marszałka Olesz?... [— Nie inaczej — mówiłem sam do siebie w duchu — jak tylko, że moje widziadło fantastyczne, moja mara nocna, łączy się dziwnym sposobem z pewnemi szczegółami rzeczywistemi, i składa się tak razem na igraszkę fantazji i przypadku... Ciekawym co dalej będzie! [Usłyszałem teraz, jak jedna z osób wyszła z kancelaryi, zamknąwszy drzwi za sobą. Został zapewne Szalborski, któremu czekać polecono. Słyszałem jego kroki. Chodził po pokoju, a kilka razy zbliżył się do stołu, pod którym się schowałem. Raz stanął nawet tuż przy nim przeglądając nadmiar papiery, tak że widziałem koniec jego stopy, jak wysuwała się ku mnie z pod rąbka zielonego sukna... Wtedy lęk mnie zbierał nie mały, aby mnie jakim trafem nie odkrył i tłumiłem ~~[illegible]~~ prawie oddech w piersiach. [Nareszcie usłyszałem, jak ktoś drugi nadchodził. Krok był ciężki, powolny — zdawało się, jakby stopy idącego ~~[illegible]~~ razy się musiały po podłodze wlec stopniowo. Drzwi skrzypnęły znowu. [— Sługa najniższy Jaśnie Wielmożnego pana generał-majora! — usłyszałem głos p. mecenasa Szalborskiego, zniżony do pokornego tonu. [— Witam aszana — odpowiedział głos nieznany mi, ostry i donośny jeszcze ale nieco drżący i złamanego tonu, tak iż w kombinacji myślom, że mówi to

starzec jakiś. — Ścielę się do stóp JW pana generała — mówił Szalborski — i przepraszam, że tak rano nachodzę, ale nie widziałem... — Nic nie szkodzi, panie mecenasie — odpowiedział generał, bo jużci musiał nim być ów drugi rozmawiający, skoro go pan Szalborski tak tytułował. — Nie lubię spać długo, starego chociaż siły opuszczają dawny obyczaj żołnierski się trzyma... Co mi asan powiesz, panie Szalborski. — Najpierw przychodzę powitać JW pana generała, którego raczej panem i dobrodziejem moim, niż klijentem nazywać mi się godzi.. — Daj Waszeć pokój tym zbytnim rewerencyom i bierz się do rzeczy... — Najpierw wyrazić muszę żal mój — ciągnął Szalborski — że JW. p. generał zastał pałac swój nieprzygotowany na przyjęcie... Ale JW. p. generał przyjechał tak nagle i niespodziewanie... — Nie frasuj się tem wcale. Niedługo zabawię we Lwowie, bo niema tu właściwie co robić. Na kilka dni kwatera wystarczy. — Przyszedłem dalej z zapytaniem — mówił dalej pan mecenas — czyli JW pan generał raczy wysłuchać raportu i przyjąć rachunki, które mu mam złożyć?... — Spowiadaj się asan co do tego z moim adjutantem, panem lejtnantem Krenwitz. — Jest wszakże jedna sprawa — zauważył p. Szalborski — która wymaga osobistej konferencyi z JW. generałem... — <u>Tandem</u> słucham pana... — JW pan generał pisał do mnie przed półrokiem list z Drezna z poleceniem owej wypłaty, czyli raczej użyczenia owego zapisu... — A dla tej szlachcianeczki — przerwał generał — Ważnie sam ci to przypomnieć miałem, panie Szalborski. Zapisałem jej na oprawę 20.000 dukatów, które miałeś jej wypłacić pod dwoma warunkami... — Mam je dobrze w pamięci — dodał Szalborski — <u>primo</u>: jeżeli jest ubogą, a zacną i cnotliwą dziewczyną, <u>secundo</u>: jeżeli jej przed tem, nim jej wiadomość o tym ~~go~~ hojnym zapisie dojdzie, zdoła sobie pozyskać samemi tylko zaletami swej osoby zacnego rodu młodziana i jeżeli mimo zmiany jej stosunków majątkowych odda mu swą rękę... — Tak jest, panie mecenasie, jest to moja krewniaczka, której dotąd nie widziałem nawet... Powiedz mi tedy, Waszeć, jak tam ta sprawa poszła... Odszukałeś ją?.. — Odszukałem. — I przekonałeś się, że warunki potrzebne posiada? — Tak jest JW. p. generale. Jest ubogą i sierotą, a zacną i wzorem skromnej cnoty panienką... Pokochał ją jeszcze przed wiadomością o zapisie pewien młody urzędnik, który mnie bardzo mocno obchodzi, a którego poznasz, JW panie generale. (Oto akt zapisu, który zostawiam w kraju...) — Czy ładna? — Bardzo, o ile znawcą jestem... — Czy podobna do swej matki, którą raz tylko w życiu widziałem? — Tak, szlachetne matki rysy odtwarza, jest bardzo wiele (uderzającego) podobieństwa... — Chciałbym ją zobaczyć. — Stanie się zadość woli JW pana generała i to przy bardzo uroczystej okazyi. Jutro wieczór będzie ślub jej z rzeczonym młodzianem, i obaj z kościoła przybędą tu, aby złożyć podziękowanie i odebrać błogosławieństwo... Korzystając z danego mi pełnomocnictwa pozwoliłem na ślub, a dzień jego będzie dniem radości nietylko dla młodej pary, ale i dla mnie, bo panem młodym jest — niech to JW. generała nie dziwi...

— Ufam ci zupełnie, panie Szalborski — przerwał generał — i mam nadzieję, żeś tego

zaufania nie zawiódł... Wszak jutro państwo młodzi staną przed mną. Dobrze tedy. Bądź ich ze-
Kół: Teraz zaś wyjeżdżam natychmiast, bo razem z p. generałem Arncourt, który jest moim
dawnym przyjacielem, mamy odwiedzić o kilka mil stąd dworem starego wspólnego znajo-
mego i odbyć u niego polowanie... Ale jutro wieczór będę już z powrotem w domu... Bywaj zdrów
panie mecenasie... [Usłyszałem w moim ukryciu kilkakrotne szuranie nóg, jakby do
ukłonu, i oddalające się kroki mecenasa. W kancelaryi pozostał sam generał i przecha-
dzał się powolnym krokiem. Po chwili usłyszałem nowe kroki i głos: [— Powóz zajechał,
Jaśnie panie generale! [Po odgłosie kroków i skrzypnięciu drzwi poznałem, że generał wyszedł.
Słuchałem chwilkę jeszcze, czy nie został kto w pokoju, ale nie słyszałem najmniejszego szelestu.
Wystawiłem zlekka głowę z pod sukna i przekonałem się, że pokój był pusty. Opuściłem
tedy moją kryjówkę. [Podsłuchana rozmowa, jakkolwiek nie była dla mnie zrozumiała,
dziwne we mnie wzbudziła myśli... Wszystko, co od wczoraj w tym dziwnym domu widzia-
łem i słyszałem składało się z tem, co się zdarzyło w Warszawie, w jedną wprawdzie nada-
zwyczajną ale prawdopodobną kombinacyą. [Rzuciłem się do biurka zarzuconego papierami, aby
z nich dowiedzieć się, kto jest ów generał. Imię jego rozstrzygało całą zagadkę. Wzrok mój
padł na papier urzędowej formy. Była to właśnie owa kopja ślubu, którą przyniósł
i zostawił generałowi Szalborski. Rzuciłem się łapczywie na ten akt, jak zgłodniały
tygrys na swą ofiarę. [Począłem czytać, ale ledwie kilka wierszy przebiegłem oczyma,
wydałem mimowolnie okrzyk zgrozy... [Na samym wstępie przeczytałem następujące
słowa: „Ja Józef Eligiusz dwojga imion Szuborzewski herbu Rawicz, ~~generał~~-major
wojsk ~~JKr~~ M. Króla saskiego, szambelan dworu, kawaler orderów itd. zapisuję jednocze-
śnie JWielmożnej pannie Helenie z ~~Ol~~ Olszanie, córce Andrzeja i Elżbiety z Szuborzewskich Ol-
szów... [Nie czytałem już dalej. Krew mi uderzyła do głowy i serce ~~[illegible]~~ jak młotem
kołatać zaczęło. Podniosłem papier z tryumfem w górę i zawołałem z radosnem uniesieniem:
[— Wiktorja! Mam ślady! Odkryłem intrygę! Helenka znaleziona! [Ale pierwszy ten
wybuch radości ustąpił wkrótce całemu mnóstwu myśli. Niebyło wątpienia, że Helenka
padła ofiarą szkaradnej intrygi i to uknutej niezawodnie przez Szalborskiego, który roz-
kuszony ogromnym darem generała, gotów był jakąś łotrowską sztuczkę. [~~Teraz dopiero~~ Sta-
nęła mi na myśli podsłuchana rozmowa między nim a generałem. Szalborski mówił,
że Helenka stanie jutro ~~wieczór~~ zaraz po ślubie z tym mężem przed tym dobroczyńcą. Groza mnie
przejmowała. ~~A~~ Kto ma być tym mężem? Jakim sposobem mogła na to zgodzić
Helenka, o której wierności ani chwili nie wątpiłem? Zmuszono ją chyba gwałtem za
kratkami... [— Ha panie Szalborski, godny mecenasie! — zawołałem gorejąc od obu-
rzenia i gniewu — Ten twój nikczemny zamiar nie dojdzie jutro! Zobaczymy, łotrze ohydny!
[Wpadłem do mojej sypialni i ubrałem się szybko. Włożyłem pistolety za pas, obwią-
załem się burką i wybiegłem na korytarz. Rychło jednak spostrzegłem się, że nie mam

jakiegoś obmyślanego planu... Co robić najpierw, gdzie się natychmiast udać? [Ocalić Helenkę! – wołało serce. [Ale gdzież ona jest, gdzie ją znajdę? [– A toż mam „żółtego generała" pod bokiem – pomyślałem – Pójdę natychmiast do niego, odkryję mu wszystko, wstrzymam jego odjazd, i ~~wspólnie~~ ~~[illegible]~~ odkrywszy intrygę niecną i jej ofiarę, nieszczęśliwą moją Helenkę!... [Wybiegłem na podwórze. [Niebyło na niem nikogo; widocznie generał już odjechał. [Postanowiłem tedy biedz zaraz do Szalborskiego, wyjść jak zbrodniarza, zdeptać go nogami i wydrzeć z gardła niecnoty całą tajemnicę... [~~[illegible]~~

V.

Wybiegłem na ulicę i pędziłem jak opętany do miasta, do kancelaryi Szalborskiego. Wpadłem tak impetycznie do biura, że aż wszyscy aplikanci się porywali. Szczęsnego jednak między nimi nie było. [– Gdzie jest Szalborski?! – zawołałem na wstępie. [– Niema go! – odpowiedziano mi. [– To być nie może, moi panowie, bardzo proszę, powiedzcie mi, gdzie jest mecenas? Potrzebuję go natychmiast! [Złagodziłem głos mój, temperując gniew, ile można było, aby nie utrudnić sobie wstępu do Szalborskiego. [– Ależ niech mnie Waćpan wierzy – odezwał się jeden z aplikantów, najstarszy – pana mecenasa niema w tej chwili ani w domu ani w kancelaryi. Wyszedł do sądu, gdzie ma dziś termin. Jeżeli go Waćpan koniecznie potrzebujesz, możesz go tam znaleźć. [Usłyszawszy to nie pożegnałem się nawet i nie podziękowałem ale wybiegłem na ulicę i pośpieszyłem do forum. Przeszkody w wyszukaniu Szalborskiego, zamiast ułagodzić nieco furyę moją, jeszcze bardziej ją podżegały. Byłem wściekły na tego człowieka, o którym nabrałem teraz zupełnej pewności, że był sprawcą ~~tak~~ mego śmiertelnego frasunku, że wydarł mi niegodziwym podstępem to, co mi najdroższem było na świecie... [Podrażniony i rozjuszony do złości wbiegłem na korytarz gmachu sądowego, który przepełniony był w przejściach ~~[illegible]~~. Nawinął mi się zaraz u wstępu woźny, który na moje zapytanie, czy nie widział gdzie Szalborskiego, wskazał na głąb korytarza. Spojrzałem tam. Szalborski stał z kilku innymi i wesoło rozmawiał. Tym zobaczywszy złość taki mnie szał gniewu opanował, że zapomniałem o sobie, a względy wszelkie pod przewagą namiętności... [W kilku skokach przypadłem do niego. Na widok rebieta rozstąpili się jego towarzysze, on sam jak kreda pobladł i chciał coś krzyknąć, zapewne wzywając ratunku. Nie dałem mu skończyć, schwyciwszy go w mej wściekłości za gardło, przydusiłem głos w krtani... Tak silnie go zdusiłem, że poczerniał i oczy na wierzch mu wylazły... Potrząsłem nim kilka razy i zawołałem, pieniąc się od gniewu: [– Gadaj podły! – zawołałem – łotrzyku, złodzieju niegodziwy! Wiem o tej zbrodni! Mów, gdzie moja narzeczona, panna Oleszanka, ukryta, albo ~~[illegible]~~ jak gnijąc ~~[illegible]~~ aż zdechniesz!... [Szalborski nic nie odpowiadał, bo bez i niemógł niebożnik, gdyż charczał zaledwie pod moją dłonią... Jednym tedy zamachem powaliłem go na ziemię, i kto wie czy byłby żyw wyszedł z tej przygody, gdybym się nagle nie uczuł pochwyconym przez kilkoro rąk z tyłu... [Byli to woźni sądowi, kilku ich naraz rzuciło się na mnie, ale gniew-

[illegible] bieda syrych grgt mnich Szelborskiego, takiej żelaznej siły dodawała mi wściekłość. Przemógłszy ~~moc~~ wrócia, związali mnie pachołki, choć się broniłem jak lew rozjuszony, i ~~na~~ ~~polecenie~~ samego Szelborskiego, który tymczasem przyszedł był nieco do siebie, odwieźli z rana do [illegible] w pobliżu areszt wojskowy. [Opierałem się, co sił starczyło i wołałem do oficerów, zrzucając pomocy przeciw Szelborskiemu i jego ~~zbrodni~~ zbrodniczej intrydze, ale daremnie i patrzano na mnie jak na obłąkanego. Oblanego potem, zmoczonego wodą, z otartą skórą, z pianą ~~na~~ na ustach oddano mi straży na odwachu, która mnie zamknęła w [illegible] ~~[illegible]~~ ciemnym areszcie. Rzuciłem się na słomę, a zdało mi się że z bezsilnego gniewu i rozpaczy od zmysłów odejdę... [Straciłem przytomność na dobry przeciąg czasu. Gdy przyszedłem do siebie jeż się nieco ku wieczorowi, który już to było w późnej jesieni, bardzo rychło się rozpoczyna. Z początku nie wiedziałem co się ze mną stało... Zdało mi się, że wszystko, co tego dnia przeszedłem, było tylko ciężkim snem. Ale słoma, na której leżałem, gniazdo zewsząd i duszna wilgoć areszt[illegible] izby przekonały mnie rychło, że to nie mara senna ale rzeczywistość... [Zebrałem się z słomianego barłogu i podszedłszy pod drzwi, począłem pukać z całej siły rękami. Zaglądał przez małe okienko żołnierz a za nim kapral. Prosiłem ~~[illegible]~~ i prosiłem, aby przyszli do mnie. Po wyjaśnieniach ~~[illegible]~~ wszedł ~~do~~ do kozy [illegible] kapral i ~~łamanym~~ ~~niemieckim~~ językiem, bo był Niemiec, zapytał, czego żądam. Ten mój zaś łamanym a nawet ~~[illegible]~~ polskim językiem – bo mało po niemiecku umiałem – pytam go, ~~[illegible]~~ jak mogę, za co mnie więzią. [– Boś człowieka chciał zamordować!... – odpowiada. [Starałem się mu, [illegible] jak mogę wyjaśnić, że to ja stałem się ofiarą zbrodni i oszustwa ~~[illegible]~~ ale cóż to obchodziło kaprala, który mnie zresztą nie mógł zrozumieć, bo i ja i on wcale niemieckiego tylko po niemiecku, [illegible] do porozumienia. [– Nix da! Aller eins! Befehl!... powtarzał kapral na wszystkie moje argumenta. [Prosiłem ja go tedy, aby mnie odstawił na policję, gdzie się wytłumaczę z mojej winy, bo i tak szlachcicem jestem i jurysdykcji wojskowej nie podlegam. [– Nix! Aller ejnc! [– Jest tu oficer który? – pytam. [– Nie ma, przyjdzie dopiero jutro z południa! [Musiał tak być tamże! Prosiłem go tedy i nalegałem dalej, aby mnie pod [illegible] gdzie odstawił, bobym mógł się wytłumaczyć, kto jestem i by mnie pu[illegible] wypuszczono. Odpowiada mi na to, że musi mnie trzymać w kozie, aż po mnie przyśle z policji i aż oficer przyjdzie, bo z takim rozkazem ~~go~~ mnie go oddano – i ~~to~~ ~~[illegible]~~ ~~mnie~~ wyszedł i zostawił mnie znowu w ciemnej izbie. [Byłem w najokropniejszej desperacji. Byłem sam na sobie rozjuszony, bo byłoby mi przyszło do tego, gdybym był spokojnie roztropnie wyszedł z tej izby. Popsułem wszystko moją gwałtowną furią. Szelborski mógł teraz ~~tryumfować~~ nade mną! [Najczarniejsze ~~myśli~~ przychodziły mi ~~[illegible]~~ rozgorączkowanemu na głowę. [– Nim się stąd wydostanę – myślałem sobie – intryga wstrętna ostatecznie spełniona. Helenka padnie ofiarą zbrodni! Zmusza ją tej chwili ślub z owym niegodziwym mi palonym człowiekiem, którego już Szelborski przygotował i straconą będzie dla ~~mnie~~ mnie na zawsze! [Chwytałem obiema rękami ~~[illegible]~~ sobie ~~[illegible]~~ głowę. Wiedziałem, że się stąd wydostać muszę, ale nim się wydostanę, będzie za późno! Wszakże jutro pod wieczór miał się odbyć ów ślub. Cóż mi z tego, jeśli wówczas odkryję intrygę? Helenka, która tymczasem zda-

nie się jony innego, wyrwała znów w nieznane strony, generał wyjedzie, Szalborski wszelkie
ślady zatrze, a mnie w nadatku do więzienia ze zgrają publiczną wsadzą!... [Prze-
byłem noc najokropniejszą. Z natury żywego a nader nerwowego temperamentu,
drżałem, to sobie wzdychałem lub płakałem na przemian. Wyprawiałem takie fi-
gle hałas, że kapral mi zagroził, iż mi kawałek na usta założyć każe... Póki
życia mego nie zapomnę tej doby mego życia. [Tak przebyłem noc całą i większą po-
łowę dnia następnego. Oficera nie widać było długo, aż nareszcie dobrze już po południu
przybył zwiedzić straż odwachową. Po dwudziestu czterech godzinach najcięższego niepokoju i bezsilnego sza-
łu zabłysnął mi wreszcie promyczek nadziei. Trwoga wprawdzie najwścieklejsza mnie przejmowała, gdym
pomyślał, że do wieczora pozostaje zaledwie kilka godzin, i że jeżeli natychmiast wolnym nie
będę intryga szkaradna a tajemnicza Szalborskiego zostanie ostatecznie spełniona — i Helenka
padnie ofiarą gwałtu oddając rękę na zawsze jakiemuś ~~najgorszemu~~ owemu onemu jej zbójcowi, ale zawsze
była jeszcze stała przynajmniej możliwość ratunku. [Kapral zameldował oficerowi, że dostał pod
straż jakiegoś zawziętego i rozjuszonego więźnia, a oficer kazał mnie zaraz stawić przed sobą.
Rozmowa oddawała mi szumny, lecz po niemiecku jak już powiedziałem, bardzo mało tylko u-
miałem, i prosiłem błagać oficera, aby mnie natychmiast wypuścił. Oficer, jakiś Nie-
miec zabity ale dość łagodny i wyrozumiały, wysłuchał mnie cierpliwie, nie wiem czy że
wszystko zrozumiał ale następną dał mi odpowiedź: [— Mój panie kochany, ja nic panu
pomóc nie mogę. Wypuścić pana na własną rękę nie mogę, ale odeślę go natychmiast
do dyrektora policji. Tam się wytłumacz i pokaż twoje papiery, a potem niech ci Bóg po-
może! [Kazał dwóm żołnierzom broń nabić i odprowadzić mnie na policją. Byłem i
z tego zadowolony, bo przecież należało przypuszczać, że dyrektor policji zrozumie wszystko, o co
chodzi, natychmiast mnie wypuści, ale i pomoc z ~~swej~~ swej strony udzieli. [Mrok już zapadał,
gdy mnie wyprowadzono z odwachu. Widząc, że już późna godzina, przejąłem się na nowo niepokojem!
Któż wie, jak wypadnie — ani w policji mnie od razu nie przesłuchają, ani nie ma
nikogo z po niemiecku zrozumie rzeczy dochodzić będą, a tu każda godzina, każda minuta
rozstrzyga, i jak się spóźnię, będzie już po wszystkiem! [Jednakowo co mówić tylko to fatalne
położenie! Co robić, jak sobie poradzić?... Wpadła mi tedy rozpaczliwa myśl do głowy uciec
po prostu z pod straży. Wprawdzie żołnierze, co mnie konwojowali, mieli nabite karabiny, ostro na-
bite, ~~ale~~ i mogli mnie zastrzelić jak ~~psa~~ — ale cóż mi już warte życie. Nie pomyś-
lałem o niem, i byłbym rad rzucić się nawet na armaty, byle wydostać się na wolność
i ratować Helenkę. [Idąc tedy między żołnierzami oglądam się na wszystkie strony, kędy
by najlepiej uciekać. Do policji z odwachu był spory kawał drogi, a kilka razy trzeba było
się zawracać w ulice. Na jednym takim skręcie wstrzymałem oddech, zebrałem wszystkie
siły, nagarbiłem tęgo się i nagłym a silnym uderzeniem obaliłem na ziemię
jednego żołnierza, zrobiłem skok w boczną uliczkę i jak strzała szybko umknąłem przed nim....

~~30~~ 31

[Natychmiast jeden z żołnierzy dał do mnie ognia... [Szczęściem, źle mierzył, kula gwizdnęła mi po nad głową i ugrzęzła w mur pobliskiego domu... [Tymczasem postać [illegible] ów [illegible] przy mnie stojącej jego i obaj puścili się za mną w pogoń... [Darłem naprzód co sił stało mi, gając się tylko na [illegible] przed oczyma żołnierzy. Ci pewnie natarczywie wołali na przechodniów, aby mnie zatrzymano, ale z [illegible] wyglądem ~~[illegible]~~ grozy i po desperacku, nikt mnie nie pobronił użyć, owszem uczył się ustępować przede mną. [Nikt mnie znając, porządnie i szlachetnie ubranego nie wziął za prostego złodzieja ale pewnie myślano, że Austryacy łowią jakiegoś partyzanta z ~~[illegible]~~ politycznych zbrodni, które wówczas w owej wojnie napoleońskiej niedawno [illegible] pokoju. [Po kilku minutach takiej gonitwy skręciłem w bramę jednej z kamienic i tem się zakoń dzwon usłyszałem. Słyszałem jak żołnierze, do których się i inni z ochotnika przyłączyli, przebiegli po pod kamienicą... Zgubili trop, minęli mnie, mogłem odetchnąć swobodnie... [Tymczasem zmrok stawał się coraz gęstszym. Ściemniło się na dobre. Wytchnąwszy i wysapawszy się nieco w mojem ukryciu wyszedłem na ulicę, ostrożnie oglądając się dokoła. Począłem rozmyślać, coby mi teraz czynić wypadało. Byłem wolny ale niemiałem środków do dalszego życia. [Gdzież teraz odszukać Szelborskiego? Jakiem ~~[illegible]~~ cudem odkryć miejsce, w którem Helenka ukrył? Jaką odpowiedź, aby zaspokoić ową złamaną... zgubił ją. ... za pół ~~[illegible]~~ już może?... Pytania te nasuwałem cisnęły się do mojej głowy — a na żadną odpowiedzieć nie byłem w stanie. [Chwilkę na miejscu stałem przestraszony bezradny. Nareszcie jakiś dobry duch podszepnął mi imię Dyzmy. Postanowiłem udać się natychmiast do niego. Można było pewniej przypuszczać, że Dyzma nie odkrył przygotowań, jakie przyszedł jego musiał robić do wykonania swej intrygi i że może dać mi wskazówki jakie, dla mnie jako dla nieświadomego całej tajemnicy obejścia, dla mnie nie ocenione. [Pobiegłem tedy natychmiast do Dyzmy. Nie szukałem go jednak w Kamedułach mniemania, bo najpierw nieby pewnie mi było pokazywać się tam; a porwanie z takiej późnej godzinie Dyzma napewne był już po skończonej robocie w domu, u siebie. [Mieszkał na Kleparzu, dobry kawałek od miasta. Pobiegłem do niego szybko i na szczęście zastałem go w domu, właśnie w chwili, kiedy miał wychodzić. Mieszkał on w dwóch małych pokoikach razem z swym ojcem, zgrzybiałym starcem, którego pracą swą utrzymywał. Gdy mnie zobaczył i zmieszał się i przestraszył zarazem. Widoczny był jednak przestrach jego niż uciecha, bo aż cofnął się o krok i z żałosnym zdziwieniem mierzył mnie od stóp do głów: [No, szczęśliwy, ty tutaj? — zawołał. [— Czemu się tak lękasz i dziwisz, czy wiesz o czem może?... — zapytałem. [— A jakżeby nie wiem ~~[illegible]~~ wszystko — odparł Dyzma cały jeszcze zastraszony — też całe miasto mówi dzisiejszego dnia, jak chciałeś zamordować Szelborskiego i jak cię pod [illegible] wzięto! Jakim sposobem tu się dostałeś? [— Uciekłem straży. [Dyzma zbladł jak chusta. [— Głowie ka — zawołał drżąc cały — zgubisz mnie i siebie. Za [illegible] ukrywanie [illegible], wywiedzą się tu, stracę nietylko chleb, ale i drogi mi [illegible] się może! [— Głupiś! — krzyknąłem bo mnie [illegible] Dyzmy na [illegible] — nieprzyszedłem cię gubić i nie proszę o ukrywanie... Nie zatrzymam się u ciebie, aby dla mojego serca dowiedzieć się prawdy przyjaciela. [Po- prowadził [illegible] Dyzma do okna i pomógł mnie przekonać.

[– Ależ mój drogi Józefie – mówił – nie bierz słów moich w tak złem znaczeniu! Jestem bojaźliwy nieco – to prawda, ale wierz, że gdyby mnie spotkał jaki nieszczęśliwy przypadek, to najbardziej ucierpi na tem mój ojciec biedny… [– No, no, uspokój się – przerwałem mu – i przepraszam za cierpkie słowa… Widzisz w jakiej gorączce jestem. [– Powiedzże mi na miłość Boga co się z tobą działo i co za ~~nieszczęsną~~ przygodę wyprawiłeś z Szalborskim? Ja już wczoraj rano byłem o ciebie a bardziej jeszcze o siebie w wielkiej trwodze, bo zaledwie zatrzymawszy się w pustym pokoju, dowiedziałem się, że jego właściciel jest we Lwowie i pomieszkanie swoje zajął. Poleciłem też zaraz wszystko, aby cię wyszukać, bo jak wiesz zrobiłem wbrew woli Mazia, ale drzwi były zamknięte i daremnie pukałem. Przybiegłem potem po raz drugi przed południem – pokój był otwarty, ale ~~po~~ tobie śladu było znaleźć… Zabrałem więc twój tłumok, szablę i pistolety i przeniosłem tu wszystko do siebie… [– Dobrześ zrobił, kochany Mazio – rzekłem – szabla i pistolety, kto wie czy mi się nie zdadzą zaraz… Ale teraz mam do ciebie prośbę wielką. Nie chcę cię narazić na żadne niebezpieczeństwo, ale błagam tylko pomocy przyjacielskiej… Nie odmówisz mi jej, jeżeli nie chcesz ujrzeć, jak sobie palnę w łeb z pistoletu….

[Poczciwy Mazio zbladł znowu jak kreda i w milczeniu załamał ręce… [Opowiedziałem mu całą przygodę moją w pustym pokoju i ~~[illegible]~~ tam z podsłuchaniem. [A Mazio aż za głowę się chwycił, przekonawszy się tym sposobem, jaką szkaradną intrygę ukuł jego przewrotny przyjaciel. [– Ktoby się był tego spodziewał! – powtarzał ciągle zatrwożony. [Gdy mu opowiedziałem dalej moje zajście z Szalborskim i wyłuszczałem, jakie niebezpieczeństwo grozi mnie i Helenie, bo właśnie za kilka chwil już może odbędzie się jej ślub z wybranym przez Szalborskiego jegomościem, zawołał przerażony: [– Wszystko przepadło! Wszystko stracone! Gorączką twoją zgubiłeś zupełnie i udaremniłeś ratunek. Józefie, zaklinam cię, zrzecz się wszystkiego: salwuj siebie, bo wierz, w jakie nieszczęście wplącze cię Szalborski… Wyjeżdżaj stąd, uciekaj i przepadło!… [– Ja mam salwować siebie, jak podły tchórz – krzyknąłem na biednego Dyzmę – nigdy, przenigdy! niechaj przepadnie i głowa! Nie dam się zgubić tak łatwo przez tobą ukochanej! Zamiast dać mi pomoc, ty mi otuchę jeszcze odbierasz! [– Ale cóż ja ci pomogę, cóż ja ci pomogę? – jęczał strapiony ~~Mazio~~ Dyzma. [– Powiedz mi tylko – zawołałem – czy nie uważałeś, czy nie podsłuchałeś czego, coby mi mogło dać ~~[illegible]~~ ślad jakiś, gdzie ukryto Helenkę? Przypomnij ~~sobie dobrze~~, ~~nie~~ spodobna przecież, aby w ostatnich dniach u Szalborskiego nie czyniono jakich tajemniczych przygotowań! [– Nie – szepnął Dyzma. [– Ależ człowieku! – wołałem z desperacją – ~~przecież~~ dziś Szalborski Helenie wesele wyprawia! Cóż ci nie wpadło przedwczoraj, wczoraj, albo dziś może w oczy, coby wskazówkę jaką dać mogło?… [– Nie – powtórzył Dyzma. [– A toś chyba tuman na cztery gwoździe zakuty! – zawołałem – Ale to być nie może, żadnym sposobem nie może!… [– W ostatnich dniach, słuchaj, nic takiego nie zauważyłem – mówił Mazio – ale, ale… Oho moje i ślad będzie! [I jakby uradowany porwał się z miejsca. [– Mazio, zaklinam cię… Ani chwili nie ma do stracenia!…

– Jak ci to opowiadałem już wprzód, chodziłem i chadzałem na przedmieście Janowskie, het za miasto, odwiedzając codziennie dom pana Macieja, którego córkę pannę Magdusię znałeś przecie... Otóż zdarzało się od dłuższego miesiąca, gdy idąc tam lub powracając spotykałem Lutyckiego albo samego młodego Szelborskiego, albo razem z nimi obu... Umykałem im zdrowo i chowałem się, a sam niedostrzeżony śledziłem ich wzrokiem. Otóż prawie codziennie w nocy, widywałem jednego albo obudwóch, jak szli lub jechali do małego domku, który tam stoi samotny, otwierali sobie kluczem furtkę i niknęli za parkanem... – Czemużeś mi tego nigdy wprzódy nie powiedział? – zawołałem zdziwiony. – Ale cóż to ciebie obchodzić mogło? Przecież nie miałeś najmniejszego podejrzenia na Szelborskiego! Któż się tego mógł spodziewać? – Namarszczył się Dygma. – I znasz dobrze ten domek? – Znam. – Czy i ostatniemi dniami także Lutyckiego tam i Szelborskich? – Oczywiście jeszcze. – Więc prowadź mnie tam! – Dygma się zawahał. Na twarzy jego malowało się najwyższe zakłopotanie. – Jakoż nie chcesz? – wybuchnąłem prawie jak przez dzikie, bo mi się aż zgroza zrobiło – musisz, przysięgam ci, że musisz! Strzelę ci w łeb jak psu, zastrzelam na śmierć, jeśli się takim podłym tchórzem okażesz! – Dygma drżał jak listek. – Uspokój się, uspokój się! – błagał – Pójdę z tobą, gdzie chcesz, tylko odłóż tę broń, na miłość Boga, bo zgubisz i siebie i twoją Helenkę zgubisz. Odprowadzę cię aż do samej uliczki, tam poczekamy ukryci, aż nadjadą lub nadejdą Szelborscy... – A jak już będą w domku? – To ci go wskażę i rób sobie, co chcesz, skacz w piekło, narażaj skórę własną, kolego! – rzekł przestraszony Dygma. – Skoczyłem mu na szyję i uściskałem z wdzięczności. – A więc chodź natychmiast! Tu chwilka rozstrzyga a mnie ziemia pali się pod stopami... Dawaj moją kurtkę, pistolety i burkę... – Dygma podał mi żądane rzeczy i sam opatrzył się szybko w oręż. – Naprzód w imię Boże! – zawołałem ściskając kurczowo rękojeść szabli. – Wyszliśmy. Dygma nasunął czapkę na oczy i owinął się w płaszcz aż po samy nos, aby go nie poznano. Wkrótce już wyszliśmy za miasto idąc z bojaźliwą ostrożnością oglądając się na wszystkie strony i umykając przed każdym cieniem. – Na uliczce przedmiejskiej, którą przejeżdżaliśmy nie było żadnego oświetlenia a noc zrobiła się ciemna, że oczy wykłuj. Szliśmy milczkiem, tylko drżąc z gniewu popychałem Dygmę, aby szedł prędzej i pytałem, czy daleko?

VI

[Na widok, który mnie tam uderzył, zadrżałem i prawie ~~zachwiałem~~ zachwiałem się na nogach. [Z trudnością powstrzymałem wykrzyk, który mi się wyrywał z piersi... [W izdebce, do której zaglądałem, ujrzałem moją Helenkę... [Krew mi uderzyła do głowy z radości i dziwnego wzruszenia, a serce tak mocno bić zaczęło, iż zdało mi się, że z piersi ~~wyskoczy~~ się wydrze... [Helenka była śmiertelnie blada a na ślicznej twarzyczce jej znać było ślady przebytego cierpienia... Liczka jej, tak pełne i rumiane dawniej, tak uśmiechające się swobodą i wesołością, zapadły się jakby po ciężkiej słabości; koralowe usteczka wyglądały jak ~~te~~ płatki róży zwiędłe, więdnące przed wichrem... [Ubrana była ~~jak~~ odświętnie do ślubu, cała w ~~~~ bieli, z wiankiem na głowie... Objąłem ją spojrzeniem i oczu od niej oderwać nie mogłem... Co się działo we mnie, tego opisać nie zdołam... Przejmowały mnie na przemian uczucia radości i drugie gniewu i żałości jakieś wzruszenia... [Stałem chwilę nieruchomy i zapatrzony, a im dłużej przyglądałem się mojej odzyskanej kochance, tem więcej wyczytywałem smutku i cierpienia na nadobnej jej twarzy... Główkę pochyliła ku ziemi, jakby w bolesnej zadumie, oczy jej tłumiły łzy, a z pod bieli wznosiła się i opadała jej pierś, jakby pod wpływem ciężkiego wzruszenia... [Widok Helenki tak wyłącznie zajął był wzrok mój, że dopiero po chwili dostrzegłem, że nie była w pokoju sama. Ujrzałem też przed nią wysokiego i bladego mężczyznę, który coś do niej żywo przemawiał. [Był to młody Szalkowski. [Ubrany był bardzo strojnie i bogato, a na piersiach wpięty miał bukiet weselny. Nie trudno mi było odgadnąć, że to on w całej tej podłej komedyi odgrywa rolę pana młodego... [W drugim kącie pokoju siedziała w staroświecko-strojnym, wyszarzałym i bezwstydnym ~~stroju~~ ubiorze, ozdobionym mnóstwem wstęg i kokard jaskrawych, panna Kotarzyńska i zanosiła się bezwstydnie od płaczu... [Nie mogłem słyszeć ani słowa rozmowy, którą się zdawał młody Szalkowski prowadzić z Helenką. Domyślić się tylko mogłem z jego ruchów i z wyrazu jego twarzy, że albo nalegał, albo żywo coś perswadował. Helenka słuchała blada i drżąca, a od czasu do czasu poruszały się jej usta, lecz nie mogłem ~~pojąć~~, czy wydobywały z nich słowa, czy jęki boleści... [Widziałem dalej, jak młody Szalkowski ukląkł przed nią, jak całował jej dłoń i prośbami ją oblegał... Potem podniósł się, ujął ramieniem kibić Helenki, i usiłował podnieść ją z krzesła, a ona opierała ~~się~~ i z głową pochyloną chwiała się, jakby w omdleniu... [Dość było dla mnie tego widoku. [Uczułem, że nadeszła stanowcza chwila. Drżałem cały ~~jakby~~ w febrze od wzruszenia gwałtownego, serce i głowa kipiały. [Ani czasu ani cierpliwości nie miałem na to, abym się namyślał długo. Instynktem tylko wiedziony, nie skutkiem rozmysłu, odwiodłem pistolety, wyjęte z za pasa, i przyłożyłem... [Uchwyciłem nogę i z całej siły okiennicę i wyważyłem w jednej chwili drewniane zasuwki rozłamałem je. Blask światła oblał mnie pełną strugą, stałem już tuż przed gołemi szybami. Okienko było małe i o pojedynczych tylko ramach. [Uderzeniem ramy silnem ~~kolanem~~ z dwóch stron i jednem mgnieniem i gwałtownem pchnięciem wysadziłem całe okno... [Łomot okropny się zrobił, szkło z głośnym trzaskiem padło ~~do~~ na środek pokoju. [W tejże samej chwili wskoczyłem przez okno i znalazłem się przy Helence... [Nie mogę opisać wrażenia, jakie sprawiło to nagłe przybycie mo-

2)

33

ledgierowanego gościa, bo tego już sam widzieć niemogłem. Usłyszałem tylko potrójny okrzyk prze-
strachu... [Mimo formalnego szału, w którym się znajdowałem, miałem tyle przytomności – i
dziwuję się jej dziś jeszcze – że jeszcze stanąłem u drzwi, które jak zmiarkować mogłem
prowadziły do sąsiedniego pokoju, domyśliwszy się bowiem, że tam znajdować musi cała gro-
no wrażej drużyny. [Stanąwszy tak u drzwi i przyparłszy je barkami rozglądnąłem się
dopiero po izbie. Oczy moje spotkały się z oczyma Helenki... [Helenka spojrzała na mnie
z lękiem, lecz w tejże samej chwili poznała mnie. [Z piersi jej uleciał głośny wykrzyk, oczy
rozjaśniły się jej, ręce wyciągnęły się ku mnie... Porwała się z krzesła i mogłem, jakby bez-
wiednym ruchem posunęła się naprzód, ale znowu zachwiała się i znowu na krzesło opadła...
[– Józef! – zawołała padając bezwładnie. [– Tak, to ja, to Józef, Helenko moja! –
odpowiedziałem. [Chciałem się rzucić natychmiast ku niej ale [illegible] najsilniejsze
drzwi. To gościa wielki przeraził łoskotem wyważanego okna i impetem mego wtargnięcia
[illegible] dostać się do pokoju. Natychmiast przyparłem drzwi jeszcze silniej i na żelazny
haczyk, który wisiał przy nich, zamknąłem. [Uczyniwszy to chciałem podbiegnąć do Helenki,
która zemdlała była z nagłego i gwałtownego wzruszenia. W tem nagle ujrzałem przed sobą mło-
dego Szelburskiego, który z drzwi gdzieś z pokoju szpadą stanął między mną i Helen-
ką i godząc we mnie ostrzem, wołał z całej piersi: [– Na pomoc! Łajze! do mnie
ponownie! [Widziałem, że mi grozi wielkie niebezpieczeństwo i że pokonać przyjdzie mi moją
władzy przemocą i przestraszyć Helenkę na [illegible] dobrem... [Ale myśl ta zaraz mnie
przeszła, uzbroiwszy się mnie tylko szablą ogromną. [Rozgrzewałem się chętnie na śmierć,
byle mieć ratunek Helenie i uczuciu zemsty pofolgować... [– Opryszku! – za-
wołał młody Szelburski mierząc na mnie impetycznie szpadą – tu chodź... Uchodź
zaraz, albo się jak psa uwieduję! [– Obwiesiu! – zawołałem szyderczo – Mości
Szelburski, [illegible]! [– Ruszaj się! – woła on dalej, godząc we mnie
szpadą – [illegible] z pod [illegible]! Jeśli [illegible], to albo [illegible]
[illegible] albo się [illegible] pod [illegible]. [– A nie tego gadzino! – krzy-
knę ja na to i całą [illegible] moją szablą. [– Do mnie! Na
pomoc! – wołał pan młody. [I znięła tylko lekko podtrzymał uderzenie mej
szabli. [Słyszę (jak drzwi, szarpane przez [illegible] raz po razie, zaczynają) pękać:
[illegible] się podwoić... [Lada chwilka mogły ustąpić drzwi [illegible] a wtedy
władzy był musiał przemocy! [Rzuciłem się [illegible] z całą wściekłością moją na młodego
Szelburskiego: [– Wołajże, wołaj, nicpoto! Miałby [illegible] ale już i wtedy felczer nie po-
może! – wołam szyderczo. [Szelburski broni się, jak może, ale daremnie. Byłem zręczniejszy
mu [illegible] a wściekłość zmieniła mnie w olbrzyma. [Natarłem na niego z furyą okrutną,
razy lecą jak pioruny na jego rapieriki, on cofa się, choć jak wściekły na szpadę, nie
dotrzymuje [illegible], umyka, chwieje się... [– A tu ci masz (infamisie) obrzydły! – wołam przycia-
jąc go do [illegible] [W tej chwili] [illegible] go tak silnie po ramieniu, że broń go oddala i szpada
na ziemię się potoczyła...

[Szalborski krzyknął z bólu i wściekłości. [– Morderca! – wołał – Pomocy! [Drzwi od
drugiego pokoju były bliskie wyłamania. [Towarzysze młodego Szalborskiego przypuścili szturm do
nich walny. Na szczęście moje były to drzwi dębowe i ~~dobrze~~ mocno osadzone... [Nie na długo to jednak
mogło pomóc, bo już się zaczęły poddawać zawiasy... Jedna chwila tylko – a sukurs mógł
nadejść Szalborskiemu. [Przyłożyłem ostrze mej szabli do piersi pana młodego i zawołałem:
[– Milcz, żmijo, bo cię na wylot przeszyję! [I kto wie, czy byłbym niedotrzymał słowa, gdy-
by mi ~~[illegible]~~ drzwi się ze mnie nie zszedł zabójca, mający się zemścić na bezbronnym
już człowieku. [Rzuciłem na bok szablę i przypadłem już tylko z gołemi dłońmi do mego
przeciwnika. Zerwałem ~~na~~ mu z piersi bukiet weselny z kwiatów, potem uchwyciłem go silnie, po-
waliłem go na ziemi... [Z głuchym stukiem obalił się Szalborski, a ja wtedy sta-
nąłem mu stopą na piersiach i wydobywając pistolet, odciągnąłem kurki. [Potem
zwróciłem się ku drzwiom i zawołałem głośno: [– Moi panowie! Proszę o chwilę spo-
koju! Chodzi tu o życie człowieka, waszego towarzysza! [Na te słowa głośno i ener-
gicznie wyrzeczone przestano w drugim pokoju wyłamywać drzwi na chwilę. [Wtedy wo-
łałem dalej: [– Nie znam was, kto jesteście, i trzymam was za ludzi honoru, choć
jakiegoś drugiego dobra! Nie jestem ani opryszkiem, ale przychodzę tu ~~w~~ właśnie dla tego,
aby ~~[illegible]~~ zdobyć się opryszkom. Słyszycie! [Potwierdzono mi to milczeniem. [– Otóż mam
w ręku mych pana Szalborskiego – ciągnąłem dalej – jak Wam to sam potwierdzi. [Tu
spojrzałem na młodego Szalborskiego i zapytałem ~~[illegible]~~ go groźno: [– Czy tak? [~~Wtedy~~ Szal-
borski, który widział się już zupełnie pokonanym a ztrwożony mej i straszliwej determi-
nacji przekonywał się, że nie pomoże na wszystko, jęknął z wyrazem uciekłej nie-
mocy: [– Tak. [– I ~~to~~ trzymam mu stopę na gardle, jak gadzinę... Mówi
Szalborski, czy tak? [– Tak! – potwierdził jeniec się porażony. [~~– Słyszycie panowie?~~ Słyszycie panowie?
Otóż zaręczam: przyrzekam wam na mój ~~honor~~ szlachecki, że jeśli natychmiast nie
odstąpicie od drzwi i nie zostawicie mnie w pokoju, strzelę mu w łeb bez pardonu!
[Nie odpowiedziano mi nic na te słowa. Słyszałem za drzwiami tylko cichy szept, jakby na-
radzanie się. Potem ~~[illegible]~~ nagle drzwi zaczęły trzeszczeć na nowo a śród łoskotu usły-
szałem także, jak ~~inni~~ niektórzy rzucili się do okien, aby inną stroną przyjść w pomoc Szal-
borskiemu. [Byłem zdecydowany na wszystko. [– Boże, wzywam cię na świadka – za-
wołałem – jako zmuszony jestem dopuścić się tego zabójstwa! [I przychylając
lufę pistoletu do czoła Szalborskiemu, rzekłem mu tonem stanowczym i zrezygno-
wanym: [– Gotuj się na śmierć! [Żal się mnie zrobiło gagatkowi życia. [– Daj
boże, człowieka! – zawołał – ja sam ich uspokoję! [I dobywając się wszystkich
swych sił: [– Panowie! Ja sam was proszę, ustąpcie. Rzetelnie wam mówię
mnie! Ten człowiek (zabije mnie)! [– Tego i pierwszego zaczął, który głos tu do
mnie wyślę. A reszta w ręku Boga! – dodałem stanowczo.

 (straciwszy raz w skutek próby Szalborskiego zupełnie kontenans,)

[Mając tym sposobem zabezpieczoną bodaj chwilkę czasu, gdyż towarzystwo znajdujące się w drugiem pokoju, niedawało znaku życia, odtroczyłem wojny sznur od torby i rzemień od szabli i rzekłem do mego ~~młodego~~ jeńca: [— Przebacz, mój ty panie młody, że się do reszty zupełnie muszę przed tobą. Ale też tak jak ja nie od użycia zbytnia zgroza, musi być ostrożnym! [I niezważając na opór młodego Szalborskiego skrępowałem mu silnie ~~dłonie~~ ręce i nogi. [Zgrzytał zębami z wściekłości i pienił się — ale nic to niepomogło. Skrępowanego odwinąłem w kąt i niedomówiłem sobie tej małej satysfakcji, aby mu nie rzec: [— Oto tobie gody weselne, paniczu! [Dopiero teraz ostatecznie wolny przypadłem do mojej Helenki. [Nie była ona świadkiem całej tej awanturniczej sceny. Kiedy tylko ujrzała, jak się moja szabla skrzyżowała z szpadą Szalborskiego, zemdlała z trwogi i przerażenia... Panna Korzyńska zamiast ją ratować skryła się w najdalszy kąt izby i na pół nieżywa oddana do czasu tylko wydawała jęki śmiertelnego przestrachu [Kiedy zbliżyłem się do Helenki, znalazłem ją bez duszy, białą jak marmur, zastygłą od lęku okropnego i głębokich wzruszeń... Ucałowałem jej obie dłonie, były zimne i jakby martwe, spoglądnąłem w twarz, oczy były przymknięte... [— Heleno moja! Najdroższa Heleno! — zawołałem ujmując jej dłonie. [Niedoczekałem odpowiedzi, gdyż Helenka nie poruszała się najlżejszym nawet tchnieniem. [— Panno Jezierska! Na miłość Boga — zawołałem w rozpaczy — być może ratuj ją, pani... Wszakże widzisz, że ginie! [I podbiegłszy do panny Korzyńskiej, która patrzyła na mnie wzrokiem zastraszonym i osłupiałym, jakby na upiora, chwyciłem ją za rękę i przyciągnąłem ją do Helenki. [— Litości! litości! — wołała panna Jezierska, która widocznie postradała zdrowe zmysły z przestrachu i nawet mnie niepoznała. [Porzuciłem ją i znowu rzuciłem się do mej Helenki tuląc dłonie jej w moich i okrywając je gorącemi pocałunkami. [— Heleno! Ocknij się, na Boga! — wołałem — Helenko moja, to ja, Józef! [Snać głos mój, wydobywający się z głębi zgnębionego serca i te pocałunki, którymi okrywałem obie jej dłonie, wszystkie moje życie przelać w zemdloną — przywiodły skutecznie, bo ku niezmiernej radości, bo zdawało mi się, że widzę, jak pierś jej poczyna wznosić się lekkim, drżącym zaledwie oddechem. [— Matko boża! teraz gody, złoczyńco! — zasyczał z podłogi Szalborski — zabiłeś ją! [— Tyś ją zabił, łotrze! — zawołałem, posyłając mu spojrzenie pełne oburzenia i nienawiści... [— Ja kocham ~~jak~~ ją bardziej niż ty opryszku — odpowiedział stłumionym głosem mój jeniec — I ona mnie!... dobrowolnie rękę mi swą oddać chciała! [Słowa te przeszyły mnie okropnie. Coś piekło za rzygało się w mojej duszy... Porywając dłonie Helenki gorączkowo, zawołałem strasznym głosem: [— Helenko! Czy ty słyszysz? Obudź się choć na chwilkę, ożyj choćby na to, aby powiedzieć temu łotrowi, że podle kłamie! [Przejmującym głosem moim i mojem pocałowaniem, Helenka otworzyła oczy... Spojrzała na pół żywem okiem na mnie... Zadrżała, zalękła, i ... zawołała: [— Józef! [— Tak to ja Józef twój, Helenko — wołałem jak szalony — Poznajesz mnie, najdroższa! [— Nieszczęśliwy — szepnęła słabym a pełnym trwogi i bólu głosem Helenka — ratuj się!... [— Helenko, ja tobie ratunek niosę! — mówiłem — ucieknij ze mną, pójdź do nieba! Tak moja żono! [— Ja ci przebaczam... panie Józefie... — szepnę,

nęła — Uchodź, ratuj się! [Osłupiałem. [— Ależ na miłość Chrystusa, Helenko! — zawołałem po małej chwili, cóż ci może przybawić... [— Wiem o wszystkiem... Zdradziłeś mnie, pojąłeś inną... Czyż żądasz dowodu?... Spełniłeś dziś twą zbrodnię, uciekaj zaraz zaginiesz zupełnie... Będą cię ścigać, ratuj się... O ratuj się Józiu, to jedyna ma prośba! [— Heleno! — zawołałem wtedy — ~~to~~ wszystko fałsz, kłamstwo ohydne! Obrzucano cię zdradziecko! Patrz, przysięgam ci na Boga, na pamięć mego ojca, jam ten sam Józef twój, niezmieniony ani zdradą ani zbrodnią żadną! Uspokój się, daruj mi wszystkiem! [Zwróciłem się do młodego Szalborskiego i krzyknąłem z wściekłością: [— Szatanie, odszczekaj mi natychmiast to wszystko! Powiedz, żeś skłamał, powiedz natychmiast, wyznaj! [Rzuciłem się ku niemu, tracąc prawie przy~~tomność~~ swojego gniewu. [Szalborski zwinął się jak wąż na ziemi, ale uprzedzając moją furyę, rzekł z wzgardą: [— Skłamałem, wyznaję... [— Słyszysz Helenko! — zawołałem — To wszystko potwarz! O uchodź ze mną, dokąd chcesz, ja życie moje poświęcam na ofiarę dla ciebie! [Oczy Helenki błysnęły żywiej, nachyliła się ku mnie z całym obrazem radości. Ująłem ją ramieniem i tuliłem do bijącej mej piersi. [— Boże! to sen był straszny! — zawołała Helenka — Józiu, ocal mnie! [Nie ~~wiedziałem~~ sobie tego położenia. Czas był naglący, aby wydostać się na ulicę z drogą jedyną. [Ale jakże to uczynić?... Czy opuszczę dom bezpiecznie z Helenką, czy nie czeka mnie zasadzka, czy nie krążą tu towarzysze młodego Szalborskiego? [Nadsłuchiwałem chwilę — w drugim pokoju było cicho... Był to znak widoczny, że wynieśli się milczkiem na podwórze i ~~tam~~ stamtąd czekają tylko mnie oknem i dostać... Lecz na cóż się zdały rozmyślania? Jak zacząłem, trzeba było skończyć. Uczułem pierś Helenki, bijącą u mej piersi, uzbroiłem się w nie nabitego, stalowego pistoletu... Brak mi tylko rozkazu ogarnął, to przyjście z tego zamiaru, jak panna Jagnieszka, która jedna na szczęście przyszła jej była wieść do nieba. [— Panno Jagnieszko — zawołałem tedy — jeśli masz ochotę zostać sama w tej strasznej jaskini, to bądź zdrowa... Trzymaj się mnie i Helenki! [Malumeńka urwała panna Jagnieszka i drżąc jak listek uczepiła się mej poły. Ja zaś ująłem silniej jednem ramieniem Helenkę, ująłem w drugą pistolet i trzymając go w pogotowiu, posuwałem się śmiało ku oknu. [— Hola! stój hrabiątko! — usłyszałem nagle wykrzyk. [Spojrzałem w okno. Stało przed niem kilka ciemnych postaci. Byli to towarzysze młodego Szalborskiego, który jak pierwszym zamieszaniem postanowił był ~~[illegible]~~, teraz poczuwszy zgubę ~~[illegible]~~ na pomoc ~~[illegible]~~ wysunął się milczkiem z ~~[illegible]~~ domku i zwołał na mnie zasadzkę u okna. [Widok ich nie przeraził mnie. [— Dobrze! Hola panowie! Jest was z czterech na jednego! — zawołałem śmiało — ale ten jeden i nie sobie śmierć wasz, jeśli tego ~~potrzeba~~!.. Padnę i ja, ale dwóch z was niech się na śmierć tobie rozrywa! [Wymierzyłem do nich pistolet. [— Ah bolu! to pełny! [Porozumieli się tak, śmiało rzuciłem się ku oknu, trzymając Helenkę silnie lewem ramieniem. [Ale tedy byli świadkowie — ~~[illegible]~~ w tył niewo, i przystanęli o kilka kroków. Nie bałem się już tych, których widziałem na oknie, ale nie byłem pewny, czyli z muru za obrem [illegible] stępują inni ukryci: [

6. [Postanowiłem tedy wyjść najpierw sam na podwórze a Helenkę i pannę Jagnieszkę zostawić
w pokoju. Chciałem tym sposobem odbyć rekonesans i utorować sobie drogę (aby była pewniejszą,) gdy mi przyjdzie prze-
prawić się z obiema kobietami. [– Helenko! – szepnąłem – zostań na chwilkę! Nie trwóż się, nie
grozi ci żadne niebezpieczeństwo! [Helenka, która drżała w moich ramionach jak zalękniona ptaszyna,
odrzekła cicho: [– Drżę o ciebie Józefie! [– Nie dam się, bądź spokojna! Ale ty nabierz odwagi i
siły, abyś natychmiast na dany znak wychyliła się do mnie przez okno! [– Dobrze – szepnęła
Helenka silniejszym głosem... [Kazałem teraz odstąpić kobietom od okna, bo obawiałem się, aby nie-
padł strzał ku mnie i z pistoletami w obu dłoniach wyskoczyłem z okna. Rzuciłem się umyślnie
z wielkim szmerem i pędem, aby w dużym skoku minąć tych, co mogli być ukryci pod mu-
rem i tym sposobem uniknąć napadu z bliska... [Widząc mnie szybko wysuwającego się naprzód,
ci, co byli pozostawieni cofnęli się co prędzej... Nie mieli też żadnej broni palnej przy sobie, bo nie dano
do mnie ognia. [Obawy moje nie były płonne, po obu stronach okna przyczajeni pod murem stali
dwaj z towarzyszów Szulborskiego. Obaj byli uzbrojeni w szable, a jeden z nich był oficer jakiś. Byłem
w wielkim niebezpieczeństwie, gdyż znalazłem się z dwóch stron otoczonym. Od okna oddzielali mnie
obaj zbrojni, w tyle szeroko [illegible]... [Byłbym też z pewnością nie dostał się napowrót do ~~okna~~
i do Helenki, gdyby przeciwnicy moi lepiej się byli ~~[illegible]~~ do mnie, a mianowicie, gdyby oni dwaj
zostali byli przy oknie... [Ale na szczęście myśleli że zamyślam same ucieczkę i ci dwaj
zasadzili zamiast mi odciąć drogę od okna, czego się najbardziej obawiałem, rzucili się za mną
z wielkimi [illegible] swoje stanowiska. [W mgnieniu oka włożyłem jeden pistolet za pas a
wyjąłem szablę, gotując się na przywitanie. Gdy ci tak [illegible] się na mnie a ich towarzysze
[illegible] z tyłu przychodzą, ja jak piorun się ~~[illegible]~~ i jak strzała zwróciłem się
~~[illegible]~~ znowu ku oknu, puściwszy z pistoletu raz na oślep... [Tym sposobem udało mi się stanąć
znowu przed oknem... Oparłem się teraz o ścianę i wydobywszy drugi pistolet wymierzyłem go
ku moim przeciwnikom, których było trzech niedaleko stojących przed oknem. [Było ich przeciw mnie.
[– Nie tak źle!... – pomyślałem. [I zwracając się ku oknu zawołałem: [– Do mnie Helenko, do
~~mnie~~! Śmiało przez okno! [Helenka natychmiast skoczyła przez niskie okno ~~[illegible]~~ podwórze do
mnie, a panna Kotarzyńska za nią taki zdobyła się nieraz heroizm, że też prawie tuż
za nią stanęła na dole. [Stanąłem przed niemi zasłaniając je plecami a wymierzając pistolet
ku [illegible] i zacząłem powoli posuwać naprzód. [– Na ustęp! – zawołałem – Mówię panowie, przy-
sięgam na Boga, kto mi drogę zastąpi, temu łeb kulą roztrzaskam... a strzelę lepiej niż
pierwszym razem! [I znowu postąpiłem dalej, chcąc cofać się ku drugiej części podwórza, ~~[illegible]~~ Przeciw-
nicy moi nie tęgiego byli animuszu i zaraz ~~[illegible]~~ cofać się poczęli. Ale ów oficer, który był nie-
dawno zwany „mój pan” tego nie miał na sobie, aby tak ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ jednym człowiekiem, wołał
po węgiersku, a zawołał: [– Za mną panowie! Niech strzela, ja idę pierwszy czy za mną! [I zaraz
to rzucił się ku mnie ze szpadą, a inni też za nim. [Nie było innej rady, jak tylko dać ognia.
Wymierzyłem do niego bacznie, celowałem po zmroku tylko i oblicze. Byłbym pewnie nie chybił, bo

strzelcem byłem dobrym, ale w tej chwili Helenka w przystępie trwogi uchwyciła mnie silnie za prawe ramię. [Strzał padł, ale nie ugodził nikogo!... [Niech tedy, nabrawszy odwagi, rzucą kupą na mnie! [Pozostała mi do obrony szabla tylko. Opór stawić mogłem przeciwnikom moim [illegible] bardzo długo i oto się stało nie [illegible]. Ale tu nie chodziło o samą obronę — trzeba się było wydostać spokojnie i to z dwoma śmiertelnie przestraszonemi kobietami... [Zwątpienie mnie ogarnęło... Postanowiłem przecież bądź co bądź (połowę) [illegible] i w ostatecznym razie nawet dać się zabić... [Moi przeciwnicy, z których [illegible] ustroiło się [illegible] gdzieś na przodzie koły i podeszli [illegible] na mnie [illegible]. Już zagrodziły one prawie tuż przed moją szablą, gdy oto nagle dają się słyszeć okropny łomot przy parkanie, jakgdyby go kto taranem chciał pogruchotać, a potem (rozlegają się) przeraźliwe krzyki: [— Trzymaj się Józefie! Nie daj się! Idziemy z odsieczą! Hurra [illegible], za nas! Powiesić tych łotrów!! [I nagle [illegible] nad parkanem i dwa strzały jeden po drugim rozległy się nad parkanem. [Zdumiałem się niezmiernie, bo to za pomoc, bo chyba zjawienie z [illegible] mogła... Ale [illegible] na mnie przeciwników zdołało to [illegible] wrażenie. Ten nagły łomot, ten okrutny głos i te dwa strzały przeraziły ich niezmiernie. [Nie dostali ani chwilki. W jednem mgnieniu oka rozbiegli się na wszystkie strony, umykając co tchu i tak [illegible], jakby już [illegible] zniknęli (stanęli) nad [illegible] (dotąd) [illegible]... [Nie miałem czasu myśleć nad tem, czyby to za [illegible] był [illegible] i nie czekałem też na zagadkową odsiecz, ale chwyciwszy wpierw Helenkę [illegible] i [illegible] na [illegible], aby [illegible] ze mną, pobiegłem chyżo ku tylnemu podwórzu... [Zastałem tu dwa powozy, te same, które przywiozły młodego Szelborskiego i jego towarzyszy. Woźniców nie było przy nich, bo [illegible] i [illegible], zbiegli ze [illegible], aby zobaczyć co się dzieje i [illegible] pomoc swym panom. [Wsadziłem co prędzej Helenkę i pannę [illegible] do jednego z powozów i rozłożyłem [illegible], która na [illegible] była [illegible]... [[illegible] to prawie w jednem mgnieniu oka [illegible] na kozioł i zacinając konie wyjechałem na ulicę. [Konie popędziły jak wiatry, a ja [illegible] (je) do [illegible] bystrego [illegible]. [Oglądnąłem się poza siebie, nikt mnie nie gonił (ale też i nie widziałem owej tajemniczej odsieczy, która mnie tak niespodziewanie wsparła.) [illegible] rozjaśniła się, niebo wypogodziło się gwiazdami. Ujechałem dobry kawałek, gdy nagle ujrzę (przed sobą) wymykającą się jakąś postać. Postać ta, owinięta w płaszcz, pędziła [illegible] wzdłuż ulicy, jakby uciekała przed [illegible]. [Popędziłem konie, i wychyliłem się z powozu z [illegible]. Nie minęła chwilka a dogoniłem go. [illegible] na ciemną postać [illegible] i jakież było moje zdziwienie, gdy poznałem w niej po figurze i po [illegible] Dyzmę. [— Dyzma! Dyzma! — zawołałem wstrzymując konie. — Nie uciekaj to ja! [Był to istotnie Dyzma. Znając [illegible] mego głosu i już chciał [illegible] [illegible], ale poznawszy mnie wreszcie przystanął i [illegible] płaszczem owiniętą [illegible]. [— Siadaj Dyzma! — zawołałem. [Dyzma [illegible] się, że [illegible] na kozioł. [— Co się stało dziecko! Myślałem, że wróciłeś dawno do domu... [— Albo ja także! — zawołał Dyzma z zapałem — to [illegible] ci [illegible]! [Mimowoli zaśmiałem się głośno — taki śmieszny był Dyzma w swej wysokiej postawie. [— A co ma tego się [illegible]? — zapytał

8) (słowa podkreślone do ryciny)

Dyzma ocierając pot z czoła. [– A mama co mówi, żeś gracko wystrzelił! – uśmiechnąłem się – łoj ledwo się którymi odpędziłem. [– Głośniej – rzekł Dyzma z miną obrażonego – a któż ci to dziecię przyniósł? [– Jak to? to ty byłeś?... [– A jakżeż ja, a nie kto inny. [Wpatrzyłem się na niego ciekawie. [– Kiedy podsunąłeś się pod parkan – począł opowiadać Dyzma – ja chciałem z u-myślnie wpierw do domu. Wzięła mnie jednak i ciekawość i przytym obawa o ciebie i namyśliłem się inaczej. Obrałem sobie miejsce bezpieczne w rowie i czekałem... [– Mój Dyzma! – zawołałem niemogąc się wstrzymać od śmiechu. [– Usłyszawszy twoją okropną wrzask i dwa strzały – ciągnął dalej Dyzma – przestraszyłem się okropnie, ale zdobywszy się na odwagę i dodawszy sobie ducha od-wyzwaniem się do obowiązków przyjacielskich, przemknąłem się po cichu pod parkan i przez szpary zaj-rzałem, żeby obaczyć, co się dzieje... Ujrzałem ciebie przy oknie gotującego się trzasnąć przez całą kupę, która na ciebie środka nacierała... [– I nie uciekłeś! [– Ot dobryś przecie z żartem. Mó-wisz wasze, jam takiż, chciałem tedy dowieść, że i ja zdobyć się potrafię na odwagę. Zresztą tak mi się naprawdę zrobiło żal według ciebie, że postanowiłem ratować cię i wyrzucić o niej... Nie umiejąc tego inaczej, że widząc z tyłu wyjąłem z torby parę pistoletów, od ciebie nabitych, które ojciec musiałeś u mego ojca pod łóżkiem. Porwałem ~~się~~ z ciężkości tęgi ~~wszczęli~~ i przyłoży-łem ich o parkan i gruchnąłem oba strzały, wołając strzeleckim głosem: „Trzymaj się, idziemy w pomoc! [– Słyszałem, słyszałem! Ale takiś się to mój Zbigniewie, że ten głos zwykło wydobyć? Myślałem, że tam cała rota Stentorów za parkanem. [– Bo też wołałem bardzo donośnie, a jak widzisz, otrzymałem wnet z tego odwrócenia... Ten pewny bodaj tak mnie uspokoił że wystawiwszy się z pistoletami ~~po nad~~ parkan a dopiero potem wielki powstał i dałem ognia... [– Miałeś się ~~uciekać~~, mój drogi, zacny Dyzmo – zawołałem – Wyświadczyłeś mi ogromną przysługę, bo twoje knyfy i strzały taką okropnie przeraziły moich przeciwników, że uciekli bez opamiętania...

10)

[Helenka wysunęła się przed siebie, zatrzymała się na chwilkę i, jak to przewidywałem, aż krzyknęła z zdziwienia... [Równocześnie usłyszałem drugi stłumiony okrzyk przerażenia... [Wszedłszy śmiało na środek pokoju rozglądnąłem się do koła. Była to salon długi, tym samym staroświeckim sposobem i tym samym dziwacznym, fantastycznym smakiem umeblowany, co dnia poprzedniego pokazane mi przyziemne komnaty starego domu. [Sala była jasno oświetlona — a znajdowało się w niej kilka osób. [Nasamprzód uderzyła wysoka, chuda i sztywna postać żółtego generała. [illegible] on z brzegu, [illegible] do sali. Ubrany był tak, jak go widziałem z portretu i jak go widziałem owej nocy. Miał na sobie tenże sam żółty mundur ze złotemi haftami, te same ordery i szpadę białą opasaną przy boku. [Tuż za nim stał stary Szelborski, i on to był, co wydał ów stłumiony wykrzyk przerażenia. Po drugiej stronie stał siwy, opasły i niski oficer w niemieckim mundurze, był to widocznie adjutant pana generała, lejtnant Klonwitz. Obok niego stały inne jakieś figury zupełnie do sztafaży należące. [Scena niema która się odegrała po naszym przybyciu godna była pędzla malarza. [Żółty generał rzucił najprzód z zapytaniem na Helenkę, która mimo przykrej tej trwogi prześlicznie wyglądała w białym stroju panny młodej, i na twarzy jego zdziwienie się [illegible] słodkim, dobrotliwym uśmiechem. [Potem zwrócił oczy na mnie a na czoło jego wystąpiły mars i wyraz zdziwienia... [Wyglądałem też nie bardzo gładko i wcale nie miałem strojnej postaci pana młodego. Prócz kubraka, podartego młodemu Szelborskiemu, nic nie mogło ostrzec mnie, że nie gdy nocnej przygody. Strój mój ubogi nie był w najlepszym porządku. Burka z [illegible] mi z ramienia, kubrak w kilku miejscach był nadarty, od pasa wisiał porwany pendolet od szabli, a długie cholewy były całkowicie błotem okryte... [Zmierzyłem spojrzenie pana generała, ale nie traciłem wcale kontenansu, postąpiłem się jeszcze dalej i z głębokiem uszanowaniem się ukłoniłem. [Podniosłszy głowę w górę spojrzałem na Szelborskiego. [Stał blady jak trup, z oczyma wytrzeszczonemi, niemy z zdziwienia, z twarzą zmienioną od przestrachu, z włosem najeżonym — cały drżący i jakby porażony... [Rzuciłem mu spojrzenie tryumfujące a obróciwszy się powtórnie generałowi ukłonem: [— Mości generale! Przybywam nieznany i niespodziewany, że przedstawiam się w stroju, który stosownie godzini a może gniewać może JWP. generała. Przepraszam tedy najpokorniej, bo nie dla braku respektu to się stało, ale z przyczyn [illegible] moich... [Generał patrzył na mnie ciągle z zdziwieniem. [— Gdybym był korzystał z dobroci p. marszałka Szelborskiego — ciągnąłem dalej — który był tak łaskaw, że zgotował mi sukcesję w osobie panny Heleny Olelskiej, pobratanej JWP. generała, byłbym stanął tu [illegible] i strojny elegant jako cacko... Nie podobało mi się jednak to sukcesorstwo i zamiast niego przychodzę stawić przed JWP. generałem Józef Mierski... [I ukłoniłem się znowu z uszanowaniem. [Generał nic a nic nie rozumiał z całej tej sceny. [— Co to ma znaczyć?... Nie pojmuję, co za...? — [illegible] generał. [— Nie pozostaje mi nic innego, jak prosić pana Szelborskiego, aby wytłumaczył JWP.

cały stan rzeczy — opowiedziałem. [Generał się obrócił i szukając oczyma Szalborskiego, zapytał: [— Szalborski, co to jest? [Ale Szalborskiego już nie było... [Podczas gdy ja mówiłem do generała i nie odwracałem od niego oczu, Szalborski milczkiem i cichaczem po za plecyma obecnych wysunął się i umknął... [— Gdzie Szalborski? — zawołał generał. [— Uciekł podlec! — zawołałem. — Generale wysłuchaj mnie, odkryję ci niecną intrygę, której i ty jesteś ofiarą... [— Mężnem Waści i niezłomnem ani słowa... Hej! panie Kreuitz, pobiegnij za Szalborskim, dogoń go i przy~~stawić~~ tu natychmiast! [Polecenie zostało natychmiast wykonane a ja rzekłem śmiało: [— Dobrze JWp. generale. Niechaj stanie tu ten szalbierz ku upokorzeniu i stwierdzeniu słów moich: Wymagać tego sprawiedliwość, aby ~~[illegible]~~ on co pełnił tak haniebną zdradę, świadkiem był mego opowiadania i ~~[illegible]~~ ukarany był widokiem, jak sprawa jego przeciw mnie samemu się zwraca... [Niewiele chwilka minęła, a Szalborskiego przyprowadzono przed oblicze generała. [Wyglądał jak zbrodzień schwytany na gorącym uczynku. Drżał na całe ciało, a pot kroplisty oblewał mu skronie. [— Czy znasz tego człowieka? — zapytał żółty generał szorstko i groźnie... [Szalborski spojrzał jeszcze raz na mnie i zaczął się jąkać... [— Nie... to jest... znam... ale chciej mi wierzyć JWp. generale... tylko najlepsze chęci dla tej panny... [— Coś mi rzecz działanie bez wiadomości, jakby (opowiadać) niemiecki plątało język... [I zwracając się do mnie rzekł rozkazująco: [— Opowiadaj Waćpan. [— JWp. generale — krzyknął Szalborski — proszę uniżenie wysłuchać imienia obrony tego człowieka... Jest to... [— Milczeć! — zawołał generał uderzając ręką o podłogę — Jemu mówić kazałem. [Szalborski skurczył się jak wąż. Spojrzał ku drzwiom, ale były obsadzone przez p. lejtnanta Kreuitza i przez straże. Opuścił oczy ku ziemi i stał jak ~~[illegible]~~ zbrodzień pod pręgierzem. [Zacząłem opowiadać. Począwszy od mego pierwszego wyjazdu ~~do~~ Lwowa, opowiedziałem generałowi wszystko (dokładnie) ~~[illegible]~~ [Żółty generał, który był uważnie słuchał i radko mu zasmucony, a gdy opowiadałem (o przedsiębiorstwie bezbożnem), o tajemniczym przypadku, który mnie do ~~tego~~ jego domu nie mógł sprowadzić, o widziadle nocnem przed gościńcem, o podsłuchanej rozmowie, która mi do wykrycia intrygi prowadziła itd., porwał się aż z krzesła z oburzenia wielkiego i rzekł: [— A to szczególne! A to mi zdarzenie! [I zwracając się do p. Kreuitza dodał: [— Verstehen sie Herr ~~Leit~~ Lieutenant. [— Curios, curios, Herr General! — powtarzał tłusty ów Niemiec, który się tyle przy tym generale nauczył po polsku, że mnie trochę rozumiał — i kiwał głową zgłupiałą. [Gdy skończyłem rzekł do mnie łaskawie: [— Podobało mi się Waści... Ale czy to prawda?... [— Co do joty nie mogę ~~[illegible]~~ inaczej tylko uchełka ~~[illegible]~~ JWp. generale! [Żółty generał zwrócił się do Helenki, przystąpił do niej i zapytał: [— Czy prawdę mówi?... [— Prawdę, JWp. generale... — szepnęła Helenka. [— Niech i to prawda, co mówi o najmniejszym szczególe? — zapytał generał uśmiechając się złośliwie i gładząc trzęsącą się Helenki. [— Prawda... — szepnęła ~~[illegible]~~ Helenka i rumieniec (wstydu) oblał jej oblicze, a blade dotąd liczko. [Generał przystąpił teraz do Szalborskiego: [— Ty ty ... to infamisie! — wrzasnął groźnie. [Szalborski był bliski zemdlenia. Drżał od trwogi i

doremnie usiłował wydobyć z siebie słów odpowiedzi... [— Panie Kremitz — zawołał generał — zrzuć mi tego łotra pod areszt na noc — a jutro odstawimy go na naboży... [I zrobił obrazowych ~~ruch~~ rozkazujący... [Dwa żylaste Wiennczyka ułowgeniły z ~~jednej~~ tej chili Kalbarskiego i wyprowadziły go z sali. [— A teraz ułożcie mi powitko młodzi — rzekł do nas z serdecznym uśmiechem siwy generał — Pójdź tu Helenko, moje dziecko, podobna do matki twej a siostry mojej... Taka śliczna jesteś, jak ona była za młodu... Dawne to dzieje, dawne dzieje! [I olśniony zagarnął ramieniem Helenkę i ramiona włożył jej z ojcowską czułością na czoło. [— Podaj mi dłoń, Karolone — rzekł do mnie potem — znał waszego jeszcze ojca i zasłużyłeś na tak śliczną dziewczynę... [Uchyliłem kornie czoło przed starcem i po dawnym obyczaju z szacunkiem ucałowałem dłoń generała. On poklepał mnie łaskawie po ramieniu a potem rzekł: [— A teraz potwierdzam wam z serca moje dzieci... [— Dzięki JWPanie generale — podziękowałem — ale pozwolenia (~~uchwaleni~~) mieliśmy (takie ~~tu~~) jedną jeszcze uwagę... Jeśli ~~ową~~ żyję ~~ni dając lepsza~~ majątkiem ją Helenkę, to dla tego iż ją kocham nad życie. Teraz, gdyś ją JWgenerale uczynił powiernicą swojego majątku, gotów jesteś może przypuszczać, że uczyniłem to z chciwości... Przyjmę błogosławieństwo Twoje, generale, ~~ale~~ oddaj tylko, gdy Helenka tak będzie ubogą, jak przedtem... [— Jestem także! — zawołała Helenka — przebacz panie generale, wuju mój kochany, ale spadku twego nie przyjmuję... Jestem szczęśliwą dziś z Józefem, aby żyć skromnie i pracowicie... [— No, no, moje dzieci, porzućcie te skrupuły — rzekł generał — obaj w charakterze łotrzyka... Nie umiecie starego, gniewać się będę gdybyście dalszym sprzeciwili... Gdy on się młody gotów, choćby na pracę dla przyszłej wieczności... [Helenka spłonęła rumieńcem radości i dłonią oczy zakryła. [A teraz rozgośćcie się u mnie i odpocznijcie po tylu awanturach — rzekł uradowany Helenki ~~wuj~~ generał — Stoły! wieczerza! Wypijemy za zdrowie siwego generała! — dodał z dobrodusznym uśmiechem. [Przeszliśmy do pokoju, w którym zastawiona była suta wieczerza wieczorowa, przygotowana widocznie na wielkie gody. Siwy generał był w wyśmienitym humorze i jeszcze nawet skosztował do pracy Jagiełły, opowiadał przy tem o zwycięzkiej wyprawie. [Ile było opowiadań i wynurzeń przy stole, ile szczęścia i radości, i jak smaczną była ~~tam~~ wieczerza po tylu burzliwych przeprawach, o tem zda się, nie ma co opowiadać...

Jeszcze będzie pół stronicy — proszę przysłać w poniedziałek!! Proszę także o korektę!

13 43

Mamże jeszcze opowiadać dalej, tłumaczyć wszystko i szczegółami uzupełniać?... [Wąt-
pię bardzo, aby to komu było pożądanem, bo każdy już teraz całego układu zgoła
się domyślił. [Nie będę tedy nudził komentarzami — ale po krótce dodam, co dopo-
tąd [illegible] wypada... [Otóż naprzód powiedzieć muszę, że Szelbrowskiego zaraz nad
ranem kazał jenerał zostawić na odwach i to na ten sam, gdzie ja w mojem uwięzie-
niu całą dobę siedziałem. [Odesłano go stamtąd do sądu — ale, proszę sobie wystawić — wy-
puszczono niebawem. [Było oczywista rzecz, że był sprawcą ohydztwa, chcąc dla swego
syna, z którym jako przyjacielem i [illegible] nie mógł sobie dać rady, [illegible]
[illegible] i tym sposobem ulżyć sobie ciężaru [illegible], ale umiał się tak
tak dobrze wymiguć, że mu nic zrobić nie było można. ~~[illegible]~~ [Dowiód [illegible]
na białem, że wszystko robił — prawnie i za pozwoleniem władzy. Jeśli tak było istotnie,
bo niewiasta przed powrotem Helenki zrobił był sobie na nią o imieniu jej dziadka
[illegible] o imieniu [illegible] opiekunem, a od jenerała miał nadto formalne peł-
nomocnictwo... [I oto zamiast [illegible] w turmie [illegible] się wybrał na [illegible]
ale wyłazł zaraz [illegible] przez [illegible] mnie: panu generałowi [illegible]
o [illegible], o [illegible], o [illegible], [illegible] : tak dalej bez końca... [I
[illegible] mu [illegible] generała [illegible] się musiał [illegible] po terminach od [illegible]
do [illegible], Boże, jak długo. a [illegible] i [illegible]
[illegible] [illegible]!... [U żółtego generała zabawiliśmy z Helenką dzień jeden cały, a
potem przeprowadziliśmy się do [illegible] Kolo... [Żółty generał [illegible] do [illegible],
ale obiecał [illegible] przybyć na ślub i wesele, które się za miesiąc odbyć miało w
[illegible]... [Dotrzymał też słowa: przyjechał... [Gdy ksiądz Szymon [illegible] dłoń Hle-
lenki z moją, [illegible] na [illegible] do [illegible] dworku [illegible] pana
[illegible] Olbry... [Izba bawialna była [illegible] przystrojona, a na ścianie wisiał
[illegible] [illegible] [illegible] żółtego generała [illegible], który ją [illegible]
[illegible] ~~[illegible]~~ [Generał [illegible] się [illegible], gdy ujrzał niebo
samego na ścianie, [illegible] w [illegible] i kwiaty... [Tak się [illegible], że
aż płakał i [illegible] nad [illegible] i [illegible]... [Ale nie długo zabawił w
[illegible]. Pojechał znowu do [illegible] i już się stamtąd nigdy nie [illegible], choć
ja i Helenka pisaliśmy do niego kilka razy. [Tak się [illegible] do-
[illegible], popadł znowu pod samą śmierć w ręce [illegible] [illegible], który
[illegible] majątek po jego śmierci zabrała. Dostałem też list od pana [illegible]
[illegible], [illegible], o którym były dwa [illegible] w złotem i emalją bo-
gato [illegible] pistolety. Generał darował nam cały swój [illegible] przed śmiercią, a
[illegible] przysłał mi zaraz te pistolety na pamiątkę... [W [illegible]

czyli powiesiłem je tam pod kontrafektem żółtego generała....

Koniec.